



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

T R E S Ć: *Polityka:* Trzeci układ, — Dymisja marszałka i agonia stronnictwa, p. A. Witskiego. — Listy społeczno-polityczne o Francji, II, p. Leona Winarskiego. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Awizacja (Wspomnienie z czasów studenckich), p. A. G. Bema. — *Życie społeczne:* X-ty międzynarodowy zjazd lekarski w Berlinie, p. X. — *Badania naukowe:* Monopol przemysłowy w Ameryce, p. K. R. Żywickiego. — *Kartki naukowo-artystyczne.* — *Literatura i sztuka:* Realizm przed sądem, p. Ładawę. — Aleksander Głowacki (Bolesław Prus), IV. — *Fejleton:* Liberum veto, p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu, p. Z. Atanazego. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

TRZECI UKŁAD.

Jeżeli nawet dzienniki liberalne wyrażają swe uznanie dla Salisburego, to wido-
cznie szanowny lord dokonał świetnych
obrotów politycznych. Rzeczywiście tak
jest. Podczas gdy inne mocarstwa rozsze-
rzyły znacznie upust wydatków na wojsko,
Anglia zwiększyła olbrzymio obszar swych
posiadłości i przypływ dochodów. Zawdzię-
cza ona to Salisburemu, który w ciągu pa-
ru tygodni zrobił trzy zręczne operacje: za-
warł jeden układ z Niemcami, zyskawszy
przezeń rozległe przestrzenie w Afryce za
drobną wysepkę bez wartości, drugi —
z Francją, przyznawszy jej łup dawno zdo-
byty, trzeci wreszcie — z Portugalją, skrzy-
wdziwszy ją tak, jak tylko silny skrzywdzić
może słabego, kiedy mu zdusi gardło i każe
podpisać „dobrowolną umowę.“ Jeżeli wo-
góle jakiekolwiek państwo europejskie —
zauważa słusznie jedna z gazet niemie-
ckich — mogło rościć sobie prawo do kra-
jów, obejmujących terytorya Mozambiku
i Angoli, to tylko Portugalia, której preten-
sye uznały Niemcy i Francja, a nawet nie-
dawno Anglia. Ale rozmaitym „towarzy-
stwom“ i misjom afrykańskim udało się
wreszcie nakłonić rząd angielski do popeł-
nienia gwałtu na Portugalii i zagrożenia
jej, w razie oporu, siłą. Na przebieg tego
gwałtu rzucają jasne światło świeżo ogło-
szone w paryskim *Temps* wyjaśnienia Ser-
pa Pinto, który niedawno tak rozdrażnił
Salisburego, że aż z jego strony wywołał
ultimatum. Ciekawe to są dzieje. Zadanie
powierzone Pincie w Afryce przez rząd
portugalski było czysto naukowem. Miał
on towarzyszyć komisji, wysłanej na stu-
dya inżynierskie, dla przeprowadzenia kolei
żelaznej w tych okolicach rzeki Szyry, gdzie
ona skutkiem wodospadów nie jest spła-
wną. Wziął on z sobą 500 ludzi, z których

200 pozostawił komisji, a z 300 udał się dla
zbadań rzek, które łącznie z drogą żela-
zną służyć miały założonej przed kilku laty
stacji portugalskiej Mponda (na południo-
wym cyplu jeziora Nyassa) do połączenia
z morzem. Przybywszy do Mpasso, dowie-
dział się, że makalole dalszemu jego pocho-
dowi stawiać będą opór. Król ich należał
do najdzikszych władców murzyńskich i był
ciągle pijany. Pinto widząc, że jego 300 lu-
dzi nie podoła 14,000 wojownikom maka-
lolskim, powrócił i doniósł swemu rządowi
o napotkanej zaporze. Dodano mu 7,000
kafrow i kilka armat — z tą siłą wyruszył
przeciw makalolom. W bitwie poległ król,
ale jego zastępy uzbrojone były dobrymi
karabinami i zadały kafrom ciężką poraż-
kę. Raz odparci, wrócili makalolowie zno-
wu, niosąc chorągwie angielskie, które
wszakże utracili. Wreszcie po wielu utarcz-
kach poddali się, oświadczywszy Pincie, że
do wojny popechnęli ich anglicy. Ci ostatni,
za zgodą rządu portugalskiego, założyli
w Blantyre (nad Szyrą) misję, a ich „To-
warzystwo morskie“ — stacje — gdzie o-
siadło ogółem 25 ludzi, łącznie z kobietami
i dziećmi. Taka tylko drobna garstka angli-
ków przebywała w tym kraju, który teraz
posiedli — wszędzie zaś panowali portuga-
lczycy. Misyonarze, spostrzegłszy bogactwo
tej ziemi i postępy władztwa portugalskie-
go, podniecili makalolów do wojny. Na od-
bytej naradzie większość była przeciwną
temu wystąpieniu, ale król przeważył
szalę zdań na stronę wojny. Po pier-
wszej porażce misyonarze dali im dwie
chorągwie angielskie i powiedzieli: „Są to
fetysze; nieście je na przedzie, a zoba-
czycie, że biały wódz każe swym żoł-
nierzom broń złożyć.“ Naturalnie fety-
sze nie nie pomogły. Później towarzystwo
wystąpiło do Pinta z żądaniem odszkodo-
wania go za stracony majątek, dołączy-
wszy szachrajski rachunek, w którym to,
co było warte franki, oceniono na funty
szterlingi. Gdy rząd portugalski odmówił,
angielski domagał się „wyjaśnień“, a nastę-
pnie położył swą lwią łapę na posiadło-

ściach portugalskich, zagroził wojną i roz-
począł proces dyplomatyczny, zakończony
właśnie obecnym „układem polubownym.“
„Gdyby na ziemi istniała jakakolwiek
sprawiedliwość — tak zakończył swą opo-
wieść z rozplomienionem okiem badacz
portugalski — powinnyby przeciwnie Por-
tugalia zażądać od Anglii wyjaśnień. Nie-
ma bowiem innych słów do scharakteryzo-
wania postępu anglików w tej sprawie,
tylko: to są złodzieje i rabusie.“

„Cały świat — powiada *Frankf. Ztg* —
nie tylko zrozumie, ale usprawiedliwi gniew
Serpa Pinto, i należałoby żałować, gdyby
jego słowa nie rozbrzmiały w najszerszych
kołach Europy. Bo chociaż one nie nie po-
mogą portugalczykom, otworzą szerzej oczy
świata na postępowanie Albionu.“

Lord Salisbury wszakże, mając trzeci
układ w kieszeni, śmieje się zarówno z tych
żałów, jak z tych ostrzeżeń.

DYMISYA MARSZAŁKA

I AGONIA STRONNICTWA.

Dymisye, bankiety, nominacye, odzna-
czenia stanowią oddawna ponętą pastwę
dla piór dziennikarskich. Nikt nigdy nie
chce uważać ich, jako wyników garści pro-
stych i zwyczajnych przyczyn, jeno dopa-
truje się w nich owocu całego szeregu okolicz-
ności wielce złożonych, a przedewszystkiem
tajemniczych i mrocznych. Interes, zwy-
kły interes handlowy nakazuje pismom po-
stępować w ten, a nie inny sposób. Taję-
mniczość posiada dla mas dziwny urok; lu-
dzie chętniej i częściej chwytają gazetę do
rąk; codziennie bowiem napotyka ją na o-
wych płachtach papieru, czernidłem drukar-
skim nacentkowanym, moc świeżych po-
głosek, zaprzeczeń, docinków, gromów, za-
chwyków, które budzą w ich umysłach to
oburzenie, to radość naprzemianą.

Nie inaczej stało się i tym razem, gdy
na bruku lwowskim, a później w całej
Galicyi rozbiegła się wieść o porzuceniu
przez Jana hr. Tarnowskiego łaski marszał-
kowskiej. Posucha, trapiąca w lesie nie
tylko roślinność, lecz również i ciekawość

ludzką, rozdeła owo zrzeczenie się do rozmiarów dramatu, osnutego na wielce dźwięcznym wątku. Posucha ta kazała zapomnieć, iż hr. Tarnowski wcale nie był odpowiednim do zajmowanego stanowiska, a to z powodu, że nigdy nie badał samodzielnie ani potrzeb kraju, ani warunków jego bytu. Posucha ta również osłabiła pamięć tych, którzy wiedzieli, że marszałek od roku przeszło ustawicznie zapowiadał swą abdykację. Posucha owa wreszcie skłoniła wielu, niemal wszystkich, do odnajdowania w postępkach marszałka znamion katastrofy, która onego czasu, przed 4 niepełną laty zmiotła Mikołaja Zyblikiewicza z marszałkowskiego fotelu. Wówczas i dzisiaj przyczyną ustąpienia miało być nieporozumienie między przedstawicielem rządu, namiestnikiem, a przedstawicielem kraju, marszałkiem. Wówczas atoli wrzał spór czysto osobisty, spór, który, na Filipa Zaleskiego rzucił cień pośpny; dzisiaj znowu waśń rzekomo powstała z powodów głębszych i rozgałęzionych, czerpiących swe soki w Wiedniu i w tradycjach centralistyczno-habsburskich. Inni natomiast objaśniali zajście owo w sposób całkiem odmienny. Marszałek — prawią oni — obraził się na namiestnika z powodu, iż tenże wszędzie a wszędzie wysuwa się na pierwszy plan. Hr. Tarnowski ustąpieniem swem tedy protestuje przeciw takiemu lekceważeniu samorządu prowincjonalnego. Istotnie — dodawał ten i ów, grający rolę dobrze wtajemniczonego — rzeczy podobnie się miały, lecz Badeni nie tutaj nie winien. Jego postępowanie wypływa z woli gabinetu wiedeńskiego, który obawiając się federacyjnych zachcianek, polecił wszystkim namiestnikom i prezydentom krajowym dobitniej zaznaczać przewagę korony. Słowem pogon za sensacją!

Prawdziwi przecież znawcy stosunków galicyjskich piszą bardzo odmienną głoskę na marginesie marszałkowskiej abdykacji. Hr. Tarnowski od samego początku jedynie tymczasowo piastował łaskę, wbrew woli własnej i chęci. Zmuszali go jednak do tego jego przyjaciele. Klika stańczykowska bowiem koniecznie pragnęła u steru władzy posiadać swojego człowieka, by i sprawy wszelkie według myśli własnej przeprowadzać, i ogółowi wpoić przekonanie, że jest naczelnym, rządzącym stronnictwem w Galicyi. Podobny plan skłonił ją również do popierania hr. Badeniego przy obsadzaniu stano-

wiska namiestnika. Po podpisaniu nominacji owej przez cesarza stańczycy zacierali ręce, sądząc, iż na długo, na zawsze wpływ swój utrwali. Tymczasem przeciwnie poparcie, udzielone ambitnemu magnatowi, przyspieszyło ich agonię. Hr. Badeni bowiem, w przeciagu ostatnich lat kilku, zmienił się do niepoznania. Dzisiaj nie jest to już ten sam zapalony stronnik krakowskiej kliki, który poświęcenie swe posuwał aż do robienia nadużyć, do kupowania głosów przeciw Romanowiczowi, do narażania dla niej własnej przyszłości, godności nawet. Obecnie doszedł on do przekonania, że korzystniejszym jest pracować dla siebie, dla opromienienia własnego nazwiska, dla powiększenia własnej władzy, aniżeli dla gromady karyerowiczów, z których każdy przy stosownej sposobności podstawiliby mu nogę. Badenio wie oddawna, od stu lat słyną, jako rodzina bardzo zapobiegliwa, zręczna, ambitna, przewodzenia żadna. Dzisiejszemu namiestnikowi przyswieca nadto bezwątpienia jego głosny, trzykrotny poprzednik, Agenor hr. Gołuchowski, który i dla kraju i dla domu swego niezmiernie wiele zdziałał. Pierwszemu nadał obecną jego prawnopolityczną powierzchowność, oczyścił go z niemców, stworzył nowe drogi i cele rozwoju; drugi postawił tuż obok z najpierwszych rodzin magnackich, zrównał go z wszechpotężną, przed trzema dziesiątkami lat familią Potockich, mającą na czele dwu takich półbogów, jak hr. Adam i hr. Alfred. Co hr. Badeni zamierza uczynić dla Galicyi, trudno wiedzieć; dotychczas czytaliśmy i czytamy jedynie o jego dobrych chęciach, podróżach i mowach. Jedyną nowosć pozyteczną stanowi rygor, zaprowadzony wśród rozbawionych i rozleniwiałych urzędników namiestnictwa lwowskiego. By zaś wywyżżyć ród swój i opromienić własne stanowisko, odsuwa obecnie widocznie stańczyków od steru samorządu krajowego i marszałkowskiego tak długo (boć i Zyblikiewicz zaliczał się do ich grona) przez nich piastowane, oddaje w ręce Eustachego ks. Sanguszki, przedstawiciela centrum sejmowego, do którego i brat jego rodzony należy. Tutaj zauważyć trzeba, że pośrednio postępek ów, podstępnie czysto osobistą zawiścią, wpłynie właśnie dodatnio na sprawy krajowe. Centrum bowiem mieści w łonie swem zachowawców, lecz nie tak skrajnych, jak stańczycy, zachowaw-

ców, niekiedy łączących się z lewicą mieszczańską, ludzi przeważnie rozumnych, a dalekich od ubiegania się za karierą. Stronnictwo krakowskie, przeciwnie dzisiaj, ani w części już nie jest podobnem do owego grona ludzi, którzy między 1867 — 1870 r. skupili się około *Przeglądu polskiego*. Tamtym rzadko można było zarzucić wprost ordynarną spekulację uczuciem i programami; terazniejsi przeciwnie są najemnikami kilku panów, rozdających im synekury częścią z własnej kieszeni częścią kosztem kraju. Przedewszystkiem zaś, z wyjątkiem może kilku tuzów jak np. Stanisław Tarnowski, oglądali się oni na Potockich z Krzeszowic i byli właściwie klientami tych bajecznie bogatych patrycyuszów. Przedwczesny zgon hr. Adama, a teraz hr. Artura zachwiał przeto podstawy bytu kliki, zachwiał tem silniej, że następca, hr. Andrzej widzi jasno, komu i na co służyły pieniądze, wyrzucane przez ojca i brata. Z ich to kieszeni paśli się ludzie, kupujący konserwatyzmem, jak Łódź perkalikami; z ich to kieszeni rosły wszelakie kariery wielu mężów stanu, którzy wnet zapominali niemal o swej narodowości. Człowieka praktycznego i zapalonego myśliwego nie nęciła wcale rola drzewa, spowitego zwojami pasorzytów. Otrząsł się z nich więc, zapowiadając na początek, iż cofa zapomogę niedołącznie od lat dziesięciu prowadzonemu *Czasowi*. Powstał wielki gwałt; aż wreszcie matadorzy kliki wymogli na młodą hrabinę, że obiecał płacić rocznie niewielką sumę dzierżawcy tego dziennika; staruszek zatem po tylu latach wysługi spadł na poziom wyrąbanego wierzchowca, zmuszonego wozic wodę... spekulantom.

Ta obojętność właśnie urodzonego przywódcy stańczyków ośmieliła namiestnika do stanowczego kroku. Wydzierając klice władzę, pragnie przeciągnąć na swoją stronę przedewszystkiem wszystkich ludzi chwiejnych, po drugie skupić około siebie te żywioły, które łączyły się ze stańczykami gwoździ zysków, po trzecie wreszcie związać się z centrum i zmienić je w sojusznika. Nie w dobrowolnem tedy ustąpieniu hr. Tarnowskiego spoczywa doniosłość sprawy, jeno w już teraz wiadomym wyborze jego następcy. Stańczycy zaś, którzy początkowo nie sprzeciwiali się owej dymisji, sądząc, iż znowu przeprowadzą własnego kandydata, dzisiaj popadli w osłupienie, zło-

AWIZACYA.

(Wspomnienie z czasów studenckich).

Miałem dwudziesty drugi rok życia i byłem jednostką, która lada chwila w opinii zacofańców mogła otrzymać nazwę „człowieka skończonego.“ Stały mój dochód miesięczny wynosił rs. 12. Szóstą jego część pochłaniało komorne; dwunastą odbierała pracza; dwudziestą czwartą — nastawiający samowar, nosiwoda; reszta szła na utrzymanie najcenniejszego z organów — zółdka. Ale ten gospodarz organizmu fizycznego padał często ofiarą mojej... przewrotności. Zamiast, w miarę sił, mięsnemi nakarmić go potrawami, rzucałem mu na pastwę liche łakocie (w rodzaju pierników lub karmelków), a co gorsza, okradałem często jego ubogą kasę, pielegnując popełdy, zdrowemu zwierzęciu ludzkiemu całkiem niepotrzebne — ba, nawet szkodliwe. Chodziłem np. czasami do teatru — i to nie na paradyz (uszlachetniony odwieczną tradycją mądrego Staszycy), ale (o zgrozo!) na galerię nienumerowaną. O innych nadużyciach ekonomicznych z owego czasu wspominać nie będę — może cień tych grzechów zbieleje obok późniejszych i w „godzinie sądu“ za kapitał obronny posłuży.

W maju i czerwcu 18.. roku życie moje dość równem płynęło korytem. Dnie dzieliły się na egzaminowe i nieegzaminowe, suche i zapustne. Charakterystycznymi ich cechami były: szalona praca lub krańcowe próżniactwo; pożeranie smakołyków lub głód. Jeżeli nazajutrz miał być uroczysty przegląd mojego inwentarza umysłowego z tej lub owej dziedziny wiedzy, kawał dnia i noc poprzedzającą spędzało się przy książce bezsenne. Esencya herbaciana, jako napój, w małych dawkach zażywany, podtrzymywała czujność. Niekiedy, bywało, Morfeusz tak potężnym do siebie uściskiem przytuli, że zaśniesz na dobre, a obudzisz się dopiero wtedy, gdy wszystko już dokonała i szumi i huczy: zrywasz się nagle, ubierasz, pędzisz, pełen trwogi, do audytorium, i, o dziwo! — składasz egzamin daleko lepiej, niż innym razem, gdy w ciągu jednej czy dwu nocy „esencya“ skutecznie na organizm oddziaływała. Po odbytej próbie następował zwykle sutszy posiłek (pół porcy i befsztyku z pół-bochenkiem chleba) i spacer w stronę Łazienek lub Cytadeli. Skrzydlaty Eros nie płał mi wówczas żadnych figlów szczególnych. Oficjalną jego piastunką była panna Amelia, osoba, jak dziś wnoszę, znacznie starsza ode mnie. Bo „młodzież o piękności metrykę nie pyta...“ Wzrost miała średni; rysy twarzy dość regularne, oszpecone przydługim nieco, a w głąb już zapadającym noskiem; oczy piwne, włosy ciemno-płowe, rączkę kształ-

tną i białą, umysł ubogi, wyobraźnię... częstochofską. Rano spotykałem ją w kościele św. Jana, a wieczorem — na ulicy, gdy... z magazynu wracała. Osobliwy to był stosunek: zawiązał się w chwilach krańcowej nudy i włókł z dnia na dzień — powoli, na pół idealnie a bez kosztu, nie rosząc sobie żadnego do przyszłości prawa: karmił on wprawdzie jakąś mdlą, raczej trawną, niż owocową słodyczą, ale spokoju nie naruszał, pragnień burzliwych nie wzniecał.

Mieszkałem w rynku Starego Miasta pod nr. 12. Śród pracy i wypoczynku, nim noc zapadła, kołatał mi ciągle do uszu, pełnym strumieniem płynący przez okno, wielki szum z placu targowego, a nader skomplikowane, właściwie tej dzielnicy powietrze kształciło po spartańsku mój zmysł powonienia. Ów rozgwar, będący wytworem tysięcy różnorodnych wrzasków, powinien mi być przypominać wielką arenę świata ludzkiego, gdzie spryt i siła pięści prawa stanowią, a pod różnemi hasłami praktykuje się stara, nieśmiertelna zasada: „Homo homini lupus.“ Wówczas jednak nie byłem jeszcze zdecydowanym pesymistą. Doświadczałem wprawdzie ataków głodu i wynikającej stąd rozpacz — chodziłem nawet raz pod Cytadelę z zamiarem samobójczym; ale czy to zimna woda, poczerpnięta z poblizkiego źródła, czy rozmyśl i trwoga, wobec otwierającej się przepaści niebytu, tak skutecznie na rozstrój ducha wpłynęły, że z nadzieją lepszego jutra powracałem do domu.

wieszczy zwiastun dalszego rozpreżenia. Nadchodzące obrady sejmiku galicyjskiego z pewnością jaskrawo oświecą ów nowy przełom w polityce wewnętrznej kraju.

A. Wiłski.

LISTY SPOŁECZNO-POLITYCZNE O FRANCYI.

II.

„Sezon martwy“ rozpoczął się w polityce na dobre. Będzie to bezczynność „sans phrase“, a sztuczki ministerialne rozgrywać się będą zupełnie już bezkarnie, nie obawiając się komedyi interpelacyjnej. Na jedną z takich sztuczek rzucił temi dniami jaskrawe światło p. Paweł de Cassagnac, ogłaszając list ministra finansów, pana Rouvier, w którym ten oświadcza senatorowi z Landes, iż protegowany jego w żaden sposób posady rządowej pierwszego stopnia otrzymać nie może, albowiem trzykrotnie był przez sąd skazany; musi się więc kontentować tylko miejscem klasy drugiej. Pan de Cassagnac słusznie dodaje, że gdyby na protegowanym senatora Landes, ciężko przynajmniej sześć wyroków, to napewno by żądany posadę pierwszego stopnia otrzymał. Istotnie strach pomyśleć, w czyich rękach losy Francji się znajdują: najwyszukańsze łotrostwo rozpiera się tu bezczelnie obok sprzedajności i szalbierstwa. A opinia publiczna?.. zapytacie. Biedaczka, tak już jest znieczulona przez atmosferę zgnilizny, jaką ustrój burżuazyjny wytwarza, iż zająścia, w rodzaju powyższego, tylko trochę żółci i ironii wycisnąć z niej mogą. A zresztą cóż ma robić? Panna Rouvier mógłby zastąpić co najwyżej p. Tirard, lub inny jakiś p. Constans. Po władzę sięga we Francji cała zgraja oszustów o długich rękach, wilczych apetytach i minach pełnych godności, które zdają się mówić: „pierwszy, kto ośmieli się nazwać mnie po imieniu, padnie z mej ręki!“

Paryż rządowy, pieniężny i lgnący do zabaw — całe to gniazdo filutów, deputowanych, „spalonych“ giełdźiarzy, ministrów, kokotek, przedajnych żurnalistów, dyplomatów, „utrzymańców“, rycerzy przemysłu i temu podobne robactwo, służące za przy-

jętę dla zbankrutowych szlachciców i złotej młodzieży — popłynęło do wód, by wypłukać zbrukane ciało — nie sumienie (byłaby to praca lady Macbeth). Korzystając z tego, że te szumowiny społeczne, cuchnące rozpustą, z których sączy się niekczemność i demoralizacja, pod technieniem gorąca i cholery, grożącej z Hiszpanii, prysnęły na wszystkie strony, że wraz z tętmem polityki ustał gwar parlamentarny i „brouhaha“ skandalów bulwarowych, zajmijmy się tym Paryżem, co skazany jest na wieczną „katorgę“ pracy i co jak, lawa, wciąż nurtuje głębie wulkanu, tylko od czasu do czasu wybuchając z siłą, wyważając świat ze starych jego podstaw.

Francji pracującej poświęcimy kilka listów.

Starożytność, w najokropniejszych obrazach dzikiej, człowieczozerczej fantazji, nie przekraczała sfery Molochów, pożerających po kilka, kilkanaście ofiar do roku. Przejmowało to ludzkość ówczesną takim dreszczem, iż dotychczas jego echa zgrozą się w nich odbijają. Świat obecny zna Molocha daleko okropniejszego, który na nieskończonej ilości stalowych ołtarzy wysysa krew i pot z żyjących pokoleń, a chwilami pochłania hekatombę, wobec których ludzkie instynkty bóstw starożytnych wydają, jak dziecinne igraszki. Molocha tego — kapitał, Zola ze zwykłą siłą w następujący sposób przedstawia: l'idole monstrueuse, cachée au fond de son tabernacle, dans cet inconnu lointain, où les misérables la nourrissent de leur chair, sans l'avoir jamais vue.“

Cmentarz w Saint-Étienne pochłonął w ciągu ostatnich trzech lat więcej, niż cmentarz ofiar wybuchów kopalnianych. W pierwszych dniach sierpnia r. b. pogrzebano w nim zwęglone szczątki stukilkudziesięciu ojców i mężów, wydartych z łona tyłuż rodzin. Potwór, ukryty w oddalonej pieczarze, dostał zwykłą hekatombę. Składają mu ją z daleko większą prawidłowością, niż tego jakiegokolwiek rytuału pierwotnych narodów wymagać mogły.

Wszystkie zeznania robotników przed komisją rewizyjną, wyznaczoną przez Izbę, świadczą, iż przyczyną wybuchu był brak najelementarniejszych środków ostrożności i higieny, wywołany przez skąpstwo Kompanii i niedbalstwo a także sprzedajność inspektorów rządowych, który na braki te spoglądali przez palce. Rozumie się, niema najmniejszej nadziei, by winni ukarani zo-

stali. Przedstawiając potęgę materyalną, ma Kompania zbyt wielki wpływ na władzę — sama wszakże karać się nie będzie. Co najwyżej straci miejsce kilku nieszczęśliwych urzędników, a komisja rewizyjna już postarała się o wynalezienie sakramentalnej lampy „otwartej, przez nieostrość“ jednej z ofiar wybuchu, co miało być powodem okropnej katastrofy. Szczęściem, reżyserowie tej komedyi byli o tyle nieostrożni, iż cudowną tę lampę, umieścili o 50 kroków od głównego siedliska wybuchu — jestto, mówiąc nawiasem odległość zbyt znaczna, żeby katastrofa mogła nastąpić. Bądźco bądź możemy być zupełnie przekonani, iż na uroczystym obrzędzie sądowym szczupak — winowajca zostanie skazany na śmierć przez utopienie i w sposób najsolenniejszy wrzucony do morza. Komedia zostanie odegrana po raz setny bez zmiany.

Komedye te służą za najlepszą ilustrację klasowego charakteru państwa. Burżuazja, która z niewinną minką, bijąc się w piersi i przewracając oczyma na wszystkie świętości przysięga, iż państwo jest bezsilne, iż rola jego powinna się redukowac do przestrzegania „porządku“, wie bardzo dobrze, co czyni. A słamazarni ekonomiści ze szkoły „kateder socjalizmu“, którzy ogłaszają państwo za „tertia persona“, za postać unoszącą się niby ponad klasami i mającą rzekomo etyczne zadania, na zasadzie badaj czy nie Kantowskiego „kategorischen imperativus“, dają tylko dowody niedołęstwa myśli i służalstwa, które wzdycha do katedrek i uwija sobie w nich nader wygodne gniazdko.

W rzeczywistości państwo jest organizacją klasy panującej, funkcjonującą w obronie jej interesów. Wydaje ono dogodne dla niej prawa i we wszechpotęgę swej scentralizowanej siły stoi na straży ich wykonania. To nam objaśnia, czemu okropne katastrofy, w rodzaju powyższej, powtarzają się rokrocznie i powtarzać się będą bez końca, dopóki klasa robotnicza francuska nie będzie dość silną, by na szalę wypadków rzucić wagę świadomej i uorganizowanej potęgi. Tylko wówczas zarazem rozpocznie się okres poważnego prawodawstwa socjalnego. Przykładem Niemcy. Tylko w głupekach można wzmówić, iż państwo pruskie jest wcieleniem idei „dobra.“ W rzeczywistości jest ono organizacją dwu klas panujących: junkrów i burżuazji. Monarchia broni ich interesów wobec ludu, ale

Oczekiwała mnie tu bardzo przyjemna niespodzianka. Zaledwo przekroczyłem próg sieni, wręczył mi stróż awizację pocztową, donoszącą o nadesłaniu „floty“ nadzwyczajnej, z poważnym ładunkiem... rs. pięciu.

— Ahuramazda mai upastam abara! (Ormuzd zesłał mi pomoc!) — krzyknąłem tryumfująco.

Zdanie to, wraz z kilku innemi, używane często w staroperskich napisach klinowatych, które niedawno pod kierunkiem profesora Papłńskiego studiowaliśmy, utkwiło mi w głowie tak dalece, że je przyłada sposobności powtarzałem.

Nastroj więc tragiczny rozwiązał się wesoło. Pieniądze można było odebrać dopiero nazajutrz, ale pewność, że je mieć będę, już dzisiaj wprawiała w humor szalony. Zapomniawszy o głodzie, poczęłem parodiować różne arye znane, a śpiew z *Roberta dyabła* — „Złoto, złoto jest chimerą!“ — powtarzałem kilkakrotnie, chociaż nikt ani „brawo“, ani „bis“ nie wołał. Do uszu moich dobiegł tylko eichy odgłos kroków z poza drzwi sąsiednich: ktoś ku nim podszedł i stanął — to ładna moja gosposia, pani Z., od której odnajmowaliśmy pokój, koncertu krzykliwego ciekawie, jak widać, słuchała. Miałem tedy... publiczność — *pojedynczą* wprawdzie i ukrytą, ale uważną i... bardzo interesującą. Czegóż jeszcze pragnąć mogła skromna ambicya domorosłego śpiewaka? Odwilżając gardło od czasu do czasu wodą słodzoną, wyszukiwa-

łem w swej pamięci coraz to inne, coraz zawsze kawalki. Pani Z., mężateczka w lekkim, Dumasowskim stylu, nie odstręczała bynajmniej surową moralnością. Można się było w końcu odważyć na publikację wokalną słono-pieprznej sielanki, przypisywanej Węgierskiemu. Huknąłem więc z całej siły swawolną piosenkę.

Odpowiedzią był zaledwo tłumiony, dziwnie wyzywający a wesoły śmiech srebrzysty. Nie ustawał on, chociaż umilkłem. Chwila zapału pseudo-artystycznego minęła, a obudziła się natomiast chęć zawiązania pogawędki z przegrodzoną drzwiami... łaskawą publicznością.

— Dzień dobry pani — rzekłem. Zdawało mi się, że nikogo tam niema; przepraszam stokrotnie za wrzaski.

— Nic nie szkodzi, owszem, niech pan dalej śpiewa. Takie teraz nudy...

— Eh, niema się czem popisować; ale na nudy znam inne, skuteczniejsze lekarstwo.

— Jakieżto, jakie? — zapytała ze śmiechem naiwnie kokieteryjnym.

— Niech pani wejść pozwoli; razem je przyrzadzimy.

— Dobrze, ale ja...

— Co takiego?

— Jestem nieubrana...

Już miałem z całą bezczelnością rzucić kuszące słowo, gdy do pokoju sąsiadki otworzył ktoś drzwi od sieni.

— Jużto wracasz? — zawołała!

— A cóż cię to tak dziwi?

Był to jej mąż, niestety! W samą porę się zjawił — pomyślałem zawiedziony, i jak martwa kłoda ległem na pościel w ubraniu. Gosposia miała kibić piękną, rączki małe, włoski złotawe, oczy niebieskie, wyraz oblicza szatańsko-poneżny. Coraz śmielsze, jaskrawsze widoki rysowały się przed zamkniętymi oczyma. Amelka, z którą rano rozmawiałem, stała teraz gdzieś w cieniu, poza widnokretem napół sennej wyobraźni. Szum targowy płynął i płynął przez otwarte okno, a z pośród chaosu wylaniał się ustawicznie donośny krzyk obwołującego swój towar handlarza: „Ośdzieści sieć szpilek za dwa grosze! Ośdzieści sieć szpilek za dwa grosze!“ — Co za taniość zdumiewająca! I w tej chwili przypominało mi się, że wielcy panowie dają zwykle w upominku młodemu pici pięknej ozdobom, krewnym, sługom, wybrankom — po kilka, kilkanaście tysięcy rubli, ba, i dukatów... „na szpilki.“ Ja nie mogłem, prawda, złożyć takiego daru u stóp sąsiadeczki, ale — jeśli nie dziś, to jutro — stać mię będzie na wcale okazałą ilość... szpilek. I poczęłem mnożyć: pięć razy sześć — trzydzieści, trzy razy pięć — piętnaście... Osiemnaście tysięcy szpilek, osiemnaście tysięcy... Tak marząc błogo, zasnąłem — i nie słyszałem nawet, jak dwaj moi współlokatorowie powrócili do domu.

Ludzie, z którymi wówczas mieszkałem, p. Aleksander Dąbek i Paweł Szczepanowicz, ani kolegami mymi, ani rówieśnika-

opiera się zarazem na ich współzawodnictwie i w ten sposób otrzymuje stanowiącą jej znamię charakterystyczne, samorządność i potęgę. Nie w nich wszakże i nie w „szlachetności młodego monarchy“ trzeba szukać źródła socjalizmu państwowego Wilhelma II. Po za tą „szlachetnością“ znajduje się półtora miliona świadomych i uorganizowanych robotników, którzy stoją już u wrót Kapitolu. Gdyby tej potęgi nie było, cesarzowi niemieckiemu napewnoby nie przeszła nawet przez myśl idea o „etycznych zadaniach państwa.“ To klasy panujące puszczają się na kompromisy i ustępstwa, w obawie przed zupełną utratą władzy, która w rękach robotników okazałaby się także wszechmocną na ich korzyść, jak jest wszechmocną obecnie w rękach junkrów i burżuazji — w obronie ich interesów klasowych.

Sila, którą klasa robotnicza francuska w drodze uświadamiania i organizacji stopniowo osiąga — jak to w następnych listach zobaczymy — objawia nam najlepiej te ustępstwa na polu prawodawstwa socjalnego, lub przynajmniej ich obietnice ze strony klasy panującej we Francji.

Dotychczas, niestety, wszystko znajduje się jeszcze w dziedzinie projektów. Jeden z nich, noszący szumną nazwę „ubezpieczenia robotników na starość“, tym, którzy w ciągu 30 lat, od 25 do 50 roku życia, spłacać będą regularnie raty, w rozmiarach 20 do 38 fr., obiecuje pensję, wynoszącą 240 do 360 fr. rocznie. Subwencja państwowa będzie wynosiła jedną trzecią ogólnej sumy. Jeżeli dodamy, że według danych, przedstawionych przez projekt ministerjalny, z 9 milionów robotników francuskich tylko 3 miliony zechce lub zdoła płacić powyższe raty, a z drugiej strony, że do 55 lat wieku dożyć może tylko ze 20% wskazanej liczby, łatwo zrozumiemy, jak bląhą jest reforma, zapomocą której p. Constans chce zdobyć sobie laury Wilhelma II. Kilkakroć sto tysięcy robotników po czterdziestokilkoletniej pracy otrzymywać będzie 75 cent., maximum — franka na utrzymanie dzienne, tj. sumę, niezaspokajającą najędzniejszej wetgetacji.

Z drugiej strony na porządku dziennym jest projekt ubezpieczenia klasy robotniczej od wypadków. Projekt ten nosi niektóre cechy oryginalności: w końcu każdego roku suma, przypadająca poszkodowanym, będzie obliczana i dzielona pomiędzy

wszystkich fabrykantów, według tablicy, oznaczającej stopień niebezpieczeństwa każdej gałęzi przemysłu. Odpowiedni kapitał zapasowy funkcyonować będzie na wypadek niewypłacalności przedsiębiorców. Niestety, wynagrodzenia, które projekt przedstawia, są także nad wyraz bląhe, a i tych nie otrzymają robotnicy, którzy pokaleczeni zostaną „przez własną nieostrożność.“ Trudno o bardziej bezmyślną decyzję tam, gdzie same warunki techniki wymagają rokrocznie prawidłowej ofiary z odpowiedniej ilości palców, rąk, nóg i całych jestestw ludzkich. Czy można sobie przedstawić człowieka, któryby za 50 cent. dziennej zapomogi dał sobie oderwać nogę i nie wysilał całej swej „ostrożności“ dla ominięcia takiego szczęścia?

By zakończyć rzecz o projektach, dodajmy, iż wszystkie partie zgadzają się na konieczność ustanowienia przymusowego wypoczynku raz na tydzień, ze względu na moralność i higienę. Zdania podzielone są tylko co do dnia, który ma być wybrany. Pomimo wymownej interwencji p. de Mun, a może właśnie z powodu tej interwencji, Izba nie chce przystać na niedzielę. Powstrzymuje ją wzgląd nader szanowny: bojaźń, by nowe prawo nie zostało zabarwione jakąś przymieszką religijną. Jest to obawa tem bardziej usprawiedliwiona, iż kongregacje religijne, powypędzane z kraju, powoli się napowrót wkradają do swych gniazd jaszczurezych, zrywając pieczęci z zamkniętych klasztorów. Porozkładały już one w wielu miejscach swe kramiki, sprzedają msze i amulety, oplatając ludność po dawnemu jadowitą siecią demoralizacji i wyzysku. Wszystko to odbywa się pod okiem p. Constansa, który pozwala strzydz głupie owieczki, licząc na poparcie reakcji dla utrzymania się przy władzy.

Leon Winiarski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Śród słowian od lat paru budzi się i zasypia myśl zwolania wszechsłowiańskiego kongresu. Wybierano już dla niego miejsca, oznaczano daty, ale słowo nie stało się ciałem. Wyrzeczono je znowu z powodu

upływającego czterdziestolecia godności biskupiej Strossmayera, a za punkt zbiorowy miał służyć Djakovar. Zamiar ten, który wyszedł głównie z łona słowian austriackich, zyskał sobie szczególną sympatię u Czechów, a właściwie u młodoczechów, którzy chcieli go wyzyskać dla wielkiej manifestacji plemiennej. Dotąd wszakże jest to dopiero marzenie, przez rzeczywistość mocno targane. Naprzód bowiem nie ulega wątpliwości, że rząd austriacki widziałby w kongresie słowiańskim, zwłaszcza na jego gruncie, ognisko bardzo niebezpiecznego zarzewia, którego rozpalenie nie pozwoliłoby tłumić pragnie, uważając wzrost pierwiastków słowiańskich w monarchii, bądź co bądź, niemieckiej za proces rozkładowy. Powtórę, cesarz osobiście czuje niechęć do Strossmayera, którego raz, wbrew swemu zwyczajowi, napomniął dosyć ostro. Pewne zaś żywiły wśród samych słowian austriackich nie życzą sobie obrażać zarówno rządu, jak monarchy, a ten wzgląd może dobre chęci przeznaczyć do wybrukowania piekła.

Cesarz niemiecki powrócił z Rosji — jak twierdzą gazety — wielce zadowolony. Nad tą podróżą łamią sobie jeszcze głowy filozofowie dziennikarscy, usiłując z drobnych i dostrzegalnych oznak wydobyc tajemnicę celu wyprawy i jej skutku. Daremne to wszakże pokuszenia — materiału brak. Obdarowanie np. Capriwego wysokim orderem św. Andrzeja świadczy, że kanclerz niemiecki wywarł na dworze petersburskim dobre wrażenie — ale nie więcej. Toż samo rzecz można o innych dowodach wzajemnej grzeczności lub sympatii. Nie ratują rozciekawionej niewiadomości gazety urzędowe, które w swych objaśnieniach nie wychodzą po za obręb ogólników i zapewnien o przyjacielskich stosunkach, ubezpieczonym pokoju itp.

Bezowocna praca domysłowości potrwa jeszcze z kilka tygodni, dopóki po letnich wezasach i upałach nie ożywi się zmartwiałe życie polityczne. Braku wypadków ważnych nie może zastąpić ani powrót ks. Koburskiego do Sofii, ani ciągle utarczki Milana z rządem serbskim, ani jego stwierdzone i zaprzeczone małżeństwo z jakąś milionerką amerykańską. Są to bowiem jedynie pyłki kurzu politycznego. Należą do nich również znowu zamierzone przez Portę „reformy“ w Armenii. Ten wąż morski wynurzał się już kilkakrotnie, ale zawsze

mi nawet nie byli. Zbliżył nas przypadek i wspólna potrzeba taniego lokalu.

Pan Aleksander, człowiek w sile wieku, „wolny strzelec“ świata handlowego, vulgo „subjekt bez miejsca“, trochę kapitalista i przedsiębiorca, za hasło życia wziął sobie „praktyczność.“ Dążył widocznie do zrobienia majątku. Czy go zebrał, wątpię. Odnaczał się bowiem gorączkową ruchliwością, plany swe często zmieniał, a zależności nie znosił. Fizycznie krzepki i korpulentny, poświęcony swej idei finansowej, w księgi się nie wdawał, a cały dzionek boży przepędzał gdzieś za domem. W niedzielę, gdy miał więcej wolnego czasu — bo późno na ulicę wychodził, obdarzał mię częstokroć złotemi radami, poczerpniętymi z drogocennej skarbnicy własnego doświadczenia. Oto jedna z charakterystycznych: „Gdy w skarpetce — mawiał — przez noszenie utworzy się dziura na pięcie, nie rzucaj jej pan w kąt, ale obróć na drugą stronę, a gdy i tu powstanie okienko, pamiętaj, że są jeszcze dwie boczne ściany, o które pięte bezpiecznie oprzeć możesz.“ Dzięki ci, panie Dąbku! radę praktyczną wnukom swym przekażę...

Szczepanowicz był już starcem sześćdziesięcioletnim. Trzymał się pochyło, ale wyglądał jeszcze zdrowo i krzepko. Różne on podobno w życiu swoim przechodził koleje. W młodości falą zdarzeń wyrzucony zagranicę, doświadczał zrazu wielkiej nędzy, potem ciężko na kawałek chleba za-

rabiał, aż w końcu dzięki własnej wytrwałości i opiece jakiegoś francuza, wypłynął na wierzch: odbył nauki w Montpellier i został inżynierem. Ożeniwszy się z córką swego dobroczyńcy, mieszkał różnymi czasy to we Francji, to w Hiszpanii. Przyjechał do kraju niedawno, sam, party nostalgią, czy żądzą zarobku. Dzieci nie miał. Żonę tkliwie kochał. Ilekroć list od niej otrzymał, wielka jego twarz zwiędła, o cerze papierowej, okrywała się rumieńcem, w oczach jaśniała radość. Czy na równi z nią miłował pieniądze, nie wiem; to jednak pewna, że, chociaż zamożny, był bardzo oszczędny w wydatkach, oszczędny aż do skąpstwa.

Gdym rano oczy otworzył, Dąbka już nie było, a Szczepanowicz, ubrany, z laską i kapeluszem w rękę, stał przy mnie, czekając, aż się na dobre obudzę.

— Panie filologu — powiedział — zwracaj uwagę na drzwi, żeby tu kto nie wszedł. Teraz się włóczą nieponie.

— Przecież nie śpię — odparłem. *Buenos dias.*

— *Buenos*, powtórzył, śmiejąc się z mojej hiszpańszczyzny. Głowa mię boli; przez całą noc oka nie zmrzyłem; ale pan za to spałeś wybornie... i gadałeś przez sen, aż się rozlegało. O jakichże to „tysiącach“ śniło ci się, młody panie? Ten wyraz ciągle miałeś na ustach. Cóż to były za skarby, he?

I nie czekając odpowiedzi, wyszedł. Ja też zerwałem się z łóżka, przyprowadziłem do porządku swą fizyczną i materialną powierzchowność, wypilem szklankę herbaty, polknąłem niemal dwie bułki i czempredziej pobiegłem na pocztę.

Zostałem tedy posiadaczem skarbu, za który można było otrzymać w rynku Starego Miasta... 18,000 szpilek. Ale wieczorajsze marzenia gorączkowe pierzchły, jak mi się zdawało, wraz z cieniami nocy. Pojutrze miał być egzamin z historii literatury powszechnej. Kłopot nielada! — kurs ogromny! Zmieniwszy papierek w jakiejś cukierni, z ładunkiem sucharków lukrowanych powracam czempredziej pod nr. 12, i choć widmo ładnej kobietki, z powodu ciższy, panującej w sąsiedztwie, znowu mię trochę niepokoi, zasiadam do pracy.

Wtem słyszę od jej strony skrzypienie klucza w zamku i leciuchne puk-puk-puk.

— Kto tam? — rzeknę z cicha.

— Czy pan ma czas? — zasyczał pieściwym szeptem wąż niewieści.

— Dla pani — zawsze.

— To może... pogawędzimy? — drzwi otwarte.

Cóż było robić? — przeszedłem próg fatalny, Rubikon.. cnoty i ostrożności.

Po upływie dwu godzin wróciłem do swego stolika, zupełnie już z zapалу ostudzony i uboższy o całe... 10800 szpilek. Pani Z. winszowała mi „uśmiechu szczęścia“, do-

pozostawał i pozostanie bohaterem bajki, którą wszyscy powtarzają, a nikt w nią nie wierzy.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

X-ty MIĘDZYKONFERENCJOWY ZJAZD LEKARSKI W BERLINIE.

Na dwa dni przed obradami zjazdu lekarskiego w Berlinie otwartą została wystawa lekarska, bogata i pouczająca. Uwagę znaczącą zwracały aparaty elektryczne prof. Ewalda ze Strasburga; „wilgotna kamera“ Kagenauera, za pomocą której można pod mikroskopem badać bakterie, wystawione na działanie różnych gazów i odczynników; tablice kolorowane chorób krtani Wyssa; preparaty anatomiczne jamy nosowej i krtani B. Fränkla; znakomite rysunki budowy anatomicznej ucha wewnętrznego, a szczególnie t. zw. organ Cortiego, wystawione przez Politzera z Wiednia; kolekcja nowych instrumentów do operacji w nosie, w gardzieli i w krtani — firmy Pfana z Berlina. Ciekawym jest także podwójny wziernik oczny, oświetlony elektrycznością, konstrukcji prof. Szwajgera z Berlina; rysunki Unthoffa, przedstawiające zmiany anatomiczne nerwu wzrokowego przy rozmaitych cierpieniach ocznych; zbiór drobnych odłamków żelaznych, wydobytych za pomocą magnesu z oczów — przez Hirszberga; dalej olbrzymią kolekcję przecięć ciała ludzkiego, dokonanych na zamarynowanych trupach, wystawił berliński instytut anatomiczny. Prywatny zakład dla obłąkanych w Dalldorf okazał bardzo ciekawy zbiór modeli gipsowych, przedstawiających mózgi idiotów, epileptyków i obłąkanych różnego rodzaju. Bawarskie ministerium lekarskie — tragi, wozy dla chorych itp. przedmioty; podobną kolekcję wystawiło także pruskie ministerium wojenne. Klinika prof. Neissera (z Wrocławia) bardzo ciekawy zbiór mikrofotografii, przedstawiających hematocyty, klinika Alberta z Wiednia kilka kolorowych rysunków choroby, zwanej *Elephantiasis arabum*, przy której członki ciała powiększają się olbrzymio. Nie wspominałyśmy o licznych innych ciekawych oka-

zach tej wystawy, nie wiadomo bowiem, którym dać pierwszeństwo, a wyliczenie najwybitniejszych tylko, już zbyt wiele zajęłoby nam miejsca.

Dnia 4 sierpnia odbyło się w cyrku Renza otwarcie zjazdu, a zarazem pierwsze ogólne posiedzenie. Cyrk, przemieniony na świątynię nauki, ozdobiony był zewnątrz i wewnątrz zielenią, kwiatami, chorągwiakami, statkami i obrazami; te ostatnie przedstawiały termy Karakaali. Na pierwszym posiedzeniu było obecnych ze 6,000 osób, pomiędzy którymi mnóstwo znakomitości, których nazwiska znane są całemu światu. Wspomniemy tylko o najwybitniejszych, do których (pomijając berlińczyków) należą: Billroth, Albert, Nothnagel, Meynert, Störk, Winternitz, Kraft-Ebing i inni z Austrii; James Paget, Lister, Mac-Ewen, Horsley, Landes Brunten z Anglii; Bouchard, Dujardin-Beaumez, Lefort, Richet, Proust, Ollier, Cornil, Chauveau i inni z Francji; Mosso, Celli, Bacelli, Cantani, Maragliano i Golgi z Włoch; Thiry i van Beneden z Belgii; Sklifassowski, Brodowski, Erismann, Aleks. Schmidt, Hoyer, Barfurt, Unverricht, Danilewski z Rosji, Wood, Knapp, Billings, Bernays, Senn, Keen, Sayre, O'Dwyre, Jacobi, Osler Stevart i Loomis ze Stanów Zjednoczonych Ameryki półn.

Prócz gwiazd pierwszego i drugiego rzędu znajdowało się mnóstwo gwiazdeczek lekarskich z rozmaitych krajów, nawet z Indji, Japonii, Chin, Paragwaju. Pierwszą mowę wygłosił zasłużony Virchow. Pozostaje on zawsze wierny swym zasadom liberalnym; po nim zabrał głos dr. Lassar, sekretarz główny zjazdu. Według jego sprawozdania, 25 rządów, 30 uniwersytetów i 50 uczonych towarzyszyło było reprezentowanym na kongresie; Francja wysłała 34 najbardziej znanych i sławnych z wiedzy lekarzy, ogółem zaś było ze 130 francuzów, których owacyjnie przyjmowano na wszystkich posiedzeniach i uroczystościach. Po uroczystych przemowach ministrów v. Böttichera, v. Gosslera i prezydenta v. Forckenbecka, dr. Hamilton z Waszyngtonu imieniem armii amerykańskiej powitał Niemcy. Z podobną mową wystąpili także Paget (z Anglii), Bouchard (z Francji), Bacelli (z Włoch, przemawiał po łacinie), Ozatary (z Węgier), Aretäus (z Grecji) i Paszutin (z Rosji).

Na honorowego prezesa zjazdu obrano doktora księcia Karola Teodora bawarskiego, znanego okuliste. Józef Lister, wy-

laczca metody antyseptycznego opatrywania ran, zwanej jego imieniem, wygłosił pierwszy odczyt naukowy, w którym przedstawił rozwój i obecny stan kwestyi antyseptyki, przyznając się do licznych poprawek, a nawet do omyłek, popełnionych dawniej, gdy metodę tę stworzył. Skromność i prawdziwość charakterystyczną prawdziwych uczonych.

W oddzielnych sekcjach odbyło się mnóstwo ciekawych odczytów. Około 1000 lekarzy zameldowało się o prawo głosu t. j. naturalnie bardzo wielu dla braku czasu wcale przemawiać nie mogło. Z naszych lekarzy przedstawili swe prace T. Heryng, S. Goldflam i inni. W sekcji medycyny ogólnej bardzo ciekawe toczono rozprawy nad gruźlicą, rozprzestrzenianie się jej przez zwierzęta i nad ustanowieniem ogólnych międzynarodowych przepisów i środków, zwalczających tę okropną chorobę. O niej też najwięcej mówiono na sekcji chorób wewnętrznych, zastanawiając się nad środkami lekarskimi, właściwymi z przebiegu tego cierpienia.

Prof. Key z Sztokholmu mówił: „o rozwoju płciowym dzieci i stosunku tego okresu do różnych objawów chorobliwych, spotykanych u młodzieży szkolnej“. Głównym celem prelegenta było wykazanie szkodliwego działania szkół na zdrowie i rozwój fizyczny, a nawet moralny dzieci obojga płci. Odczyt ten należał do najciekawszych niemal żywo zajął słuchaczy, a zawarł się w następującym wniosku: przeszło trzecia część chłopców, uczęszczających do szkół średnich, jest chronicznie chorą. Najczęstszymi chorobami są tu: niedokrwistość, blednica i krótkowzroczność, wzrastająca z każdą klasą. Z dziesięciu szkolnych przeszło 60% choruje w Szwecji; nie lepiej dzieje się w Danii. Przyczyną tych cierpień złe warunki sanitarne szkół i przeciążenie pracą umysłową.

W oddzielnych sekcjach zwrócił na siebie uwagę komunikat Edisona, który na zasadzie jednego doświadczenia przypuszcza, że za pomocą elektroliny uda się rozpuszczać złogi wapienne przy podagrze, a może też i kamienie pęcherzowe.

W sekcji higieny bardzo obszernie rozprawiano o kwestyi prostytucji, a także o domach dla podrzutków (Erisman z Moskwy).

Pomijając w krótkim streszczeniu tak olbrzymiego kongresu mnóstwo rozmaitych

wiedziała się bowiem o jakiejś przesyłce pieniężnej od stróża. Daremne były z mej strony zapewnienia, że otrzymana kwota nie jest tak wielką (głupia próżność nie pozwalająca mi przyznać się do bardzo małej). Proszono mię w końcu o.. pożyczanie trzech rubli na nową parasolkę: „maż taki skąpy — nudziarz — niemiły — już się jej sprzykrzył na dobre“ — „po pierwszszym z pewnością odda.“ O stawianiu oporu nie mogło być mowy; uległem bez wahania.

Ale niebieskie otchłanie oczu gosposi przestały mię nęcić. Pod jej drzwiami żadnych już odtąd nie śpiewałem serenad — ani idealistycznych, ani słono-pieprznych, a oszczędność moja wprawiła w zdumienie nawet Szczepanowicza.

— Co ci się stało, filologu? — mówił. Dawniej pijałeś słodką, jak syrop, herbatę, a dziś na jednym kawałeczku poprzestajesz?

— Naśladowuję pana; może z czasem zrobię majątek? — odparłem obojętnie, zmuszając się do połknięcia gorzkiego napoju.

— Daj Boże! — Będzie czas jeszcze o tem pomyśleć. Ale teraz, mój młody panie, trzeba się lepiej odżywiać; bo żółklesz na szafran, a chudy jesteś, jak szczapa.

— Więcej jadać nie mogę.

— Tak? — to źle — musisz być chory?

— Zdrow jestem.

— Panie filologu, powiedział, zbliżając się, mam do was prośbę. Nie śmiejęcie się —

to nie żarty; czybyście mię nie mogli nauczyć początków greczyzny?

— A na co się to panu przyda? — rzekłem zdziwiony, hamując pokusę ironii. Po chwili zaś dodałem w poważnym a chłodnym tonie:

— Pan chyba drwi ze mnie..?

— O, mój drogi panie, bynajmniej.. Tylko widzisz (w mowie Szczepanowicza zwykłe zwroty do współromówców — *pan, wy, ty* — kojarzyły się często w sposób najfantastyczniejszy) — bo widzisz, mój młodzieńcze, gdy mówię „c'est du grec pour moi!“ — to mię wstyd i za siebie i za francuzów, z którymi tyle lat żyłem. Można o wielu rzeczach nie wiedzieć; ale chełpić się prawie nieznajomością mowy tak wielkiego niegdyś narodu, narodu, który wydał Fidyasa, Sokratesa, Platona, Demostenesa.., to hanba, to hanba!.. Powziąłem więc postanowienie onegdajszej nocy, gdy marzyłem o owych „tysiącach“, nauczyć się jeszcze przed śmiercią trochę po grecku, korzystając z tego, że mieszkasz ze mną..

Uściskałem weterana i obiecałem dawać mu lekcje rudymentów starohelleńskich przez pół godziny dziennie, dopóki z Warszawy na dalsze studia inżynierskie nie wyjedzie.

— Ale, mój drogi, ja nie chcę darmo, a płacić dużo nie mogę. Za każdą lekcję obiadek, na jaki mię stać — dobrze?

— Zgoda! — krzyknąłem. Od jutra zaczynamy: alfa, beta, gamma, delta et cetera et cetera. I potok wspólnego śmiechu wtórował serdeczemu uściśnieniu dłoni.

Odszedł. A ja weselszy byłem, niż wczoraj, po wizycie u pani Z., choć za żadne pieniądze nie śpiewałbym już mazurka o pasterzu i pastercie. Nastroj mego umysłu podniósł się o kilka stopni wyżej. Dziwny układ ze Szczepanowiczem silnie po sobie zostawił wrażenie. Czy ten człowiek, pomysłalem, rzeczywiście się wstydzi zupełnie nieznajomości języka, którym niegdyś wielki naród mówił... A może tylko chce mi on pomóc w twardej biedzie?

Na pytanie to i dzisiaj nie umiałbym odpowiedzieć. Ale pamiętam, że starzec, który od lat wielu spoczywał już w grobie, uczył się, jak pilny żak trzynastoletni, gramatyki greckiej, a po upływie dwu niespełna miesięcy przyswoił sobie doskonale cały pierwszoroczny kurs gimnazjalny. Wzajemian za to karmił mię codziennie czterdziestogroszową ucztą w restauracji „pod bukiem“, niewyczerpanymi odami na cześć żony, mieszkającej w Algierze i barwną opowieścią o kwiatkach i cierniach długoletniej po obczyźnie włóczęgi.

A. G. Bem.

odeczytów i dysput wspomnę na zakończenie, że międzynarodowi goście wspaniale zostali przyjęci w Berlinie, a imponującą ucztę wyprawił zarząd miasta, przyjmując 6000 osób w salonach ratusza.

Ministerium oświaty obdarzyło każdego z uczestników kilku tomami wydanych na ten cel książek, opisujących instytucje szpitalne berlińskie, wody mineralne niemieckie, urządzenia sanitarno-hygieniczne państwa niemieckiego. Ostatnie posiedzenie ogólne odbyło się 8 sierpnia, poczem goście rozjechali się na wszelkie strony świata, unosząc wspomnienia potęgi stanu lekarskiego w świecie i olbrzymiego rozkwalu wiedzy medycznej.

X.

BADANIA NAUKOWE.

MONOPOL PRZEMYSŁOWY W AMERYCE.

Kiedyś, na początku roku bieżącego, wypadło nam poruszyć w *Prawdzie* kwestję tegoczesnego prądu monopolistycznego. Wykazaliśmy, że tego rodzaju dążności są koniecznem a nieodzownem następstwem wolnej konkurencji, odkąd wytwórczość oparta została na szczególnych metodach technicznych. Kto wejrzał głębiej w prawa rządzące walką tegoczesną pomiędzy oddzielnymi przedsiębiorstwami, tego nie zadziwi ta okoliczność, iż rozwój „tezy,” jakby się wyraził Hegel, doprowadził do „antytezy.” Między innymi zauważyliśmy wtedy, że owe tendencje wystąpiły najjaskrawiej w Stanach Zjednoczonych. Dodać należy, że monopole przyjmują tutaj postać najrozmaitszą i obejmują nader różnorodne gałęzie działalności ekonomiczno-gospodarczej. Między innymi warto zaznaczyć szczególną formę, będącą jakby pierwszym krokiem w kierunku monopolizacji środków przewozowych, tak zwane „poole.” Przypuścimy, że np. pomiędzy dwoma miastami krążą statki kilku towarzystw kolejowych. Wzajemna konkurencja doprowadza rywalów wreszcie do takiego stanu, iż poczynają myśleć o porozumieniu. Ustanawiają oni wzajemnie dochody. Dajmy na to, że dla jednego towarzystwa wynoszą one 15%, dla drugiego 30% całego zysku. Wybierają wspólny zarząd finansowy; lecz każde przedsiębiorstwo prowadzi swoje sprawy na własną rękę — zjednywa sobie pasażerów i w ogóle usiłuje zwiększyć ruch u siebie, chociażby z uszczerbkiem innych firm w „poolu” stowarzyszonych. Dochody jednak płyną do wspólnej kasy i ulegają podziałowi, według oznaczonego przy umowie stosunku, aż póki nie upłynie termin. Wtedy, jeśli „pool” ma być utrzymany i nadal, stawia się już inną skalę podziałową, zależną od wzajemnego położenia walczących współzawodników. Nie ulega wątpliwości, że takie urządzenie jest pierwszym krokiem w kierunku zupełnego zlania współzawodniczących linii przewozowych. Widoczną jest jednak rzeczą, że mówiąc o tegoczesnym monopolu, niepodobna go uważać za przejaw zasadniczy, ani też przeceniać wartości takich okazów monopolistycznych, jak gazowe przedsiębiorstwo miejskie. Przeciwnie, są to raczej podrzędne postacie nowożytnego prądu monopolistycznego. Po odsunięciu na bok tych form mało znaczących w porównaniu z innymi, stajemy na gruncie Stanów Zjednoczonych oko w oko ze szczególnym zjawiskiem: z monopolizacją oddzielnych gałęzi przemysłu, opartą już na takiej podstawie, iż wszelka konkurencja z danem przedsiębiorstwem, dzięki ześrodkowaniu w niem kapitału, staje się wprost niemożliwą. Zjawisko to uwidoczniło się najsilniej w „trustach” — szczególnej formie stowarzyszenia pojedynczych zakła-

dów przemysłowych. Stowarzyszenie to niekiedy jest wprost koniecznością techniczną, jak np. w truscie naftciarskim, gdzie przeprowadziło wspólną sieć naftociągów; o rozmiarach zaś jego świadczy ten fakt, iż na rynek naftowy dostarcza ono aż $\frac{3}{4}$ całego zasobu oczyszczonej nafty amerykańskiej. Nie należy mniemać, żeby ta monopolizacja nowożytna sprowadziła jedynie straty dla spożywców. Dzieje trustu naftciarskiego wskazują, że jego powstanie i rozwój techniczny wywołały powolną i równomierną lecz nieustającą zniżkę w cenie produktu.

Jak zapatruje się publiczność amerykańska na to zjawisko? Mamy przed sobą obecnie dwie prace w tym przedmiocie: jedną, większych rozmiarów, Bakera *Monopole i lud*, drugą, nieznaczniejszą — Ilesa *Współzawodnictwo a trusty* *). Poglądy obu autorów są niemal jednolite. Zatrzymajmy się nieco chociażby nad rozprawką Ilesa. Wykazuje on, że charakter spisku, wymierzonego przeciw spożywcom, nie jest konieczną cechą nowoczesnego prądu monopolistycznego. Wprawdzie trust cukrowarów przedstawia się, jako sprzysiężenie tego rodzaju; wywołał on bowiem podwyżkę ceny produktu; podobnie trust wytwórców oleju lnianego wpłynął na podniesienie ceny z 38 do 56 centów za gallon; lecz jednocześnie można przytoczyć wprost przeciwne przykłady. Trust np. naftciarski wytworzył organizację, ogarniającą cały Związek północno-amerykański; poznał więc dobrze potrzeby tego olbrzymiego rynku (rzecz niemożliwa dla setki wzajemnie współzawodniczących przedsiębiorstw); uregulował odpowiednio swą produkcję; przeprowadził ulepszenia, niewykonalne przy kapitałach pojedynczych olbrzymiego nawet zakładu; uprościł stosunek spożywców do przedsiębiorców; usunął wreszcie mnóstwo pasorzytów pośredniczenia i dzięki temu obniżył cenę towaru. „Dobrze poprowadzony trust jest ostatniem ogniwem tego procesu historycznego, który rozpoczyna się wyrugowaniem pracy ręcznej przez maszynę; postępuje on dalej, stosując siłę pary do ruchu maszyny; czyni wreszcie krok decydujący, gdy maszynerya, zarządzana przez zbiorowy kapitał, wypowiada walkę dotychczasowym firmom prywatnym. Postęp techniczny idzie wciąż w kierunku, wykreślonym przez oszczędności, które daje prowadzenie interesu na wielką skalę, w porównaniu z drobnym przemysłem; w dalszy ciąg — przez wzrastającą specjalizację, przystosowanie podaży do ustalonego zapotrzebowania, przez nieustające poznawanie potrzeb rynku i usunięcie wszelkiej w tym względzie niepewności. Wprawdzie nowe te metody pociągają za sobą ruinę i upadek wielu tysięcy współzawodników; ale jest to nieunikniona koniecznością. Ludzkość bowiem, od chwili gdy znajdzie lepsze lub tańsze sposoby produkowania, nigdy nie wraca do kosztowniejszych i uciążliwszych i nie baczna na wynikające stąd cierpienia.” Przytoczyliśmy ustęp niemal dosłownie. Ze słów tych łatwo pojąć, że autor jest przeciwny wszelkim zawodom prawnym, stawianym na drodze rozwojowi trustów. Zauważył on z najzupełniejszą słusnością, że kiedy przedsiębiorcy ocenili już na gruncie praktycznym zyski, płynące z solidaryzowania się w jedno wyższe towarzystwo, to na pewno nie porzucą lekkomyślnie danej metody. Co więcej, w wielu gałęziach życia przemysłowego sprawa stała się tak obszerna, a jednocześnie tak złożoną i nieuporządkowaną, iż koniecznie wymaga owego uproszczenia, jakie organizacja trustowa za sobą prowadzi. Gdy możliwość trustu będzie usunięta na drodze prawnej, to wyrodi się inna forma zbiorowa; jeśli stowarzyszenie przedsiębiorców nie dojdzie do skutku, pojedynczy jakiś zakład zagarnie z czasem

niezajęte stanowisko z większą dla ogółu stratą.

Całe pytanie polega nie na powstrzymaniu nieodzownego postępu, lecz na tem, jakimi środkami można publiczności zapewnić wszystkie korzyści, płynące z organizacji trustowej, a jednocześnie uniknąć ujemnych następstw spisku przedwyborczego. Iles zaznacza, że rozwój monopolistyczny dostarcza broni przeciwko własnym zamachom, umożliwiając, dzięki wprowadzonemu uproszczeniom, kontrolę państwową, taką, jaką tu i owdzie rząd rozciąga już nad kolejami i kopalniami. Sądzi on nawet, — że wielka lecz kontrolowana produkcja i wymiana trustowa mogą działać z większą bez porównania korzyścią dla ogółu, aniżeli nieorganizowana konkurencja chwili bieżącej. Przeciwno zarzutem, że to rozszerzyło by nadmierne czynności państwa, odpowiada on: kiedy kraj jest napastowany przez wrogów, nikt wtedy wojsku regularnemu prawa bytu nie zaprzeczy. Większość społeczna potrzebuje dziś opieki przeciw ciemnościom ekonomicznym; jest to w całym słowa znaczeniu — wojna producentów przeciwko spożywcom, wymagająca od armii krajowej nie tylko męstwa, lecz przede wszystkim rozsądku. Co więcej, autor sam nawet wskazuje, jakie korzyści możnaby odnieść, gdyby zamiast mnóstwa drobnych kramików ukazały się w miastach (co zresztą praktykuje się już na wielką skalę) olbrzymie magazyny, sprzedające pod jednym dachem i jedną firmą najrozmaitsze przedmioty. Możliwość je było oprzeć na zapewnionej a obszernej klienteli, na udzielaniu kundmanom prawdziwych wskazówek co do gatunku kupowanych rzeczy, a jednocześnie obniżyć cenę, dzięki uproszczeniu administracyjnemu. Baker w swojej pracy zajął podobne stanowisko. Sądzi on, że zapanowanie monopolów nie jest bynajmniej wyrazem wsteczności, jakby mniemano w początkach obecnego stulecia, ale raczej — nieustającego postępu w organizacji społecznej. Rozrost ich to wynik dzisiejszych warunków produkcji i jedyne przeciwko nim lekarstwo to nie zniesienie ich i powstrzymanie, lecz rozciągnięcie nad nimi należytej kontroli państwowej. Zresztą autor *Monopolów i ludu* w swych środkach zaradczych idzie o wiele dalej, niż Iles. Powiada on mianowicie że dalszy rozwój monopolów musi doprowadzić z konieczności do upaństwowienia odpowiednich gałęzi produkcji, przewozu i nawet wymiany; utrzymuje, że już obecna chwila dojrzała do tego w zakresie kolei żelaznych, górnictwa, środków przewozowych i w ogóle komunikacji miejskiej (tramwaje, telefony), oświetlenia gazowego, doków okrętowych i t. d. Państwo, a względnie miasto, winno je objąć w swoje posiadanie i wydzierżawiać od siebie na czas niejaki przedsiębiorcom, na warunkach, uwzględniających interesy spożywców.

Prace, o których mówimy, świadczą, że w opinii publicznej na gruncie amerykańskim silny zwrot następuje. W samej rzeczy, kwestya nowoczesnego monopolu, z właściwemi mu nadużyciami, ujawnia się coraz dobitniej. Z jednej strony centralizacja, podążająca w kierunku uproszczenia maszyny wymiennoproduktowej, jasno całą potęgę swą stwierdza, dowodząc, że tylko ona, na olbrzymią rozszerzoną skalę i odpowiednio zorganizowana, może być podstawą, na której wzniesie się zarazem wyższy ustroj społeczny; z drugiej — tę postępową a cywilizacyjną siłę przywłaszczają sobie nieliczni działacze i to w jedynym celu — skierowania jej na swoją wyłączną korzyść a uszczerbek i wyzysk społeczny. Co więcej, opinia publiczna zaczyna się przekonywać, że sam rozwój w kierunku centralizacji jest nieodzownością historyczną, którą powstrzymać można jedynie, zawracając się ku przebytem już fazom dziejowym. Podane przez Bakera środki są bez porównania

*) Baker, *Monopolies and people*; Iles, *Competition and trusts*.

głębiej obmyślane, niż u Ilesa; lecz ukazują się poza nimi jeszcze szersze i bardziej demokratyczne pragnienia: upaństwowieniu różnych gałęzi przemysłu u Bakera towarzyszy „wydzierżawienie” — jeśli chcemy pozostać przy tym terminie. Czyż najmici, pracujący przy kolejach, złączeni w jedno olbrzymie stowarzyszenie spółdzielcze, nie mogą wystąpić w roli owych „dzierżawców”? Stowarzyszenie takie, któreby podjęło warunki, postawione przez państwo, a miało na widoku usunięcie możliwego wyzysku, zniosłoby jednocześnie uciemiężenie pracy przez kapitał. Można by podobnie zorganizować inne produkuje, już to ogólnopństwowe, już to lokalno-miejskie, a między innymi ogólnopństwowy folwark rolny z gruntów narodowych. Przeprowadzić wywłaszczenie celowe prywatnych, zarówno wielkich, jak małych gospodarstw, ale tak, żeby wywłaszczeni znajdowali miejsce we wspomnianych stowarzyszeniach; pozbawić samodzielności pojedyncze grupy i utworzyć z nich jedno ogólnokrajowe stowarzyszenie produkujące — oto, jaki byłby program partji ludowych w Ameryce, gdyby można było wstąpić, iż państwo podejmuje się tej roli. Jest to jednak nadzieja dość płonna. Wszak z nowoczesnym monopolem ekonomicznym podąża naprzód zmonopolizowanie władzy państwowej przez grupy kapitalistyczne, które doprowadzone do konieczności upaństwowienia monopolów pomyślą naturalnie i wtedy.. o sobie, lecz nie o najmitach.

K. R. Żywicki.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE.

Stany alkoholizacyjne. Mamy przed sobą badania amerykańskie, dr. Crothersa, zawierające nader ciekawy a pouczający materiał z zakresu zjawisk alkoholizacyjnych — jak on je nazywa. Przedstawia on naprzód przypadki bardziej zakłócone, gdzie widzimy upojenie pijackie bez używania trunków. Farmer 54-letni, człowiek silnego charakteru, zamożny, nigdy nie brał do ust żadnego upajającego napoju. Razu pewnego wypadł z wagonu i doznał lekkiego wstrząśnienia. Twarz stała się czerwona, głos drżał i ochrypł — całe zachowanie przypominało pijaka. Sądono też, że upił się. W kilka miesięcy później, na pogrzebie dziecka, stan ten powrócił ku wielkiemu zmartwieniu przyjaciół i rodziny; później zdarzyło się to jeszcze raz w podobnych okolicznościach. Bliższe poszukiwania dowiodły, że farmer ten istotnie nie przyjmował żadnego trunku. Ojciec był opojem; ten zaś syn powoli zidyociał.

Kupiec, człowiek zdrowy i wstrzemięźliwy, w kantorze swoim, przy pracy, otrzymał wiadomość o śmierci córki. Rzucił się na sofę w stanie nieprzytomnym z wszelkimi oznakami pijackimi; wśród rodziców dowiedziono alkoholizmu.

W obu razach upojenie i nieprzytomność ukazują się bez pośrednictwa trunku. Dr. Crothers między innymi wzmiankuje, że podobne przypadki zdarzały się często podczas ostatniej (jakiej?) wojny, dając powód do wielu podejrzeń i domysłów. Ludzie, nieużywający trunków, przed bitwą wykazywali krańcowy stan alkoholizmu z podnieceniem lub apatią. Oficer jeden na czele oddziału zaczął śpiewać i zachowywał się, jak gdyby był mocno pijany, aż musiano go odesłać do szpitala, a tymczasem nie miał w ustach ani kropli trunku. Przypadkom tym dano szczególną nazwę: upojenia bojowego. Podobne zdarzenia są znane wśród służby kolejowej, kiedy stało się jakieś nieszczęście; z tego powodu mniemanych pijaków oddawano pod sąd, lecz okazywało się, że nigdy nie pili, przynajmniej bezpośrednio przed wypadkiem. Jakże są powody tych zjawisk? Dr. Crothers sądzi, że jest to alkoholizm dziedziczny i powołuje się na znane objawy takiego psychicznego spadku. W zakładzie głuchoniemych w Hartford badał on dwoje dzieci, wykazujących skutkiem najmniejszego

rozdrażnienia stan pijacki i to od samego dzieciństwa; rodzice byli opojami. W innym razie znał idyotę, który wpadał w nieprzytomność pijacką, kiedy po raz pierwszy spostrzegł kogoś nieznanego. W jednym przypadku histeryczka, która podchmielona obawiała się śmiertelnie psów, urodziła kretyna, wpadającego w obłąkanie pijackie na widok wszelkiego psa. Powyższe fakty świadczyłyby, że rozstrój nerwowy, spowodowany u rodziców nadmiernym opilstwem, u dzieci prowadzi do szczególnych objawów neuropatycznych, przypominających stan upojenia (dr. Crothers sądzi nawet, że lekkie podchmielenie u jednego z rodziców w chwili zapładniania sprowadza ten sam skutek).

Za tem przemawia obecność podobnych stanów u ludzi, którzy nadużywając kiedyś trunków, później zachowywali skrupulatną wstrzemięźliwość. Rzecz ciekawa, że wielu czynnych rzeczników amerykańskich towarzystw wstrzemięźliwości pokutowało w ten sposób za grzechy dawne i to podczas publicznych swych wystąpień przeciwko alkoholizmowi! Wybitny agitator w tym kierunku, dawniej opój, porzucił nałóg przeszło od 10 lat. Podczas odczytu dostał depeszę od żony, donoszącą o niebezpiecznej chorobie dziecka. Wypił szklankę wody i nagle, ku wielkiemu zdziwieniu publiczności, zaczął mówić i działać, jak gdyby nieprzytomny; zgorszeni słuchacze wyrzucili go najniewinniej za drzwi. Inny, podobnie stały agent i mówca towarzystwa wstrzemięźliwości, który od lat 5 przestał pić, wpadał w taki stan zaraz po ukończeniu odczytu; czekano już wtedy, czempredję brano go do oddzielnego pokoju i trzymano, póki nie otrzeźwiał. Godnem jest uwagi, że inny przestał pić jedynie rozpoczynając odczyty; jeśli brakło sposobności, doznawał nieprzewidywanego popędu pijackiego; po odczycie był zawsze duchowo pijany. Inne zdarzenia są jeszcze charakterystyczniejsze. Prawnik, wstrzemięźliwy aż do nieznoszenia zapachu alkoholizacyjnego, syn opoja, ilekroć znalazł się w towarzystwie pijackim, dochodził do upojenia, tak, iż nawet nie mógł iść o własnej sile do domu; na drugi dzień czuł wszystkie objawy, właściwe pijakom; zresztą odznaczał się nadmierną wrażliwością naśladowniczą. W dalszym ciągu autor przytacza aktorów, którzy grając rolę pijaków, nie mogli jej kończyć z powodu nieprzytomności, mimo że nie wypili najmniejszego kieliszka wódki. Co więcej, zna on publicystów wstrzemięźliwych, którzy sami nie piją, lecz pisząc o pijaństwie i ilustrując je, dochodzą do upojenia. Dr. Crothers wykazuje zawsze w tych wypadkach alkoholizm u przodków.

Fakty powyższe, rzucające bezwarunkowo ciekawe światło nie tylko na skutki alkoholizmu, ale i na mechanizm „duszy” ludzkiej, stanowią dowód: po pierwsze: że objawy zatrucia alkoholizacyjnego ukazują się mogą niezależnie od bezpośredniego użycia trunków; powtórnie, że nadmierne nadużywanie pozostawia w organizmie pijaka stałe ślady i co więcej, zatrzuwa w szczególny sposób organizm potomków. Dr. Crothers wykazuje, że idealne upojenie można odkryć nawet u wnuków opoja, lubo już ojcowie zachowywali wstrzemięźliwość.

LITERATURA I SZTUKA.

REALIZM PRZED SĄDEM.

Proces Conradięgo, Wallotha i Albertiego przed sądem lipskim. — Prokurator Nagel. — Nieco o kwalifikowanych i niekwalifikowanych urzędnikach państwowych. — Walki w łonie realistycznej szkoły niemieckiej. — Rozbicie grupy „Freie Bühne” a zawiązek nowej.

Prasa niemiecka, milcząca zawzięcie o postępach młodej szkoły realistycznej, w ostatnich tygodniach zajęła się jej sprawą; co więcej, uczynić to była zmuszona w tonie dla niej przychylnym — pomimo zastrzeżeń, o których nie zapominała. Zaszedł bowiem

fakt, którego najlepsi nawet znawcy stosunków niemieckich spodziewać się nie mogli: oto cenzura niemiecka stanęła w rzędzie przeciwników skrajnego realizmu niemieckiego. Z wrogiem tym prześladowani walczyć nie mogli, a literacy ich antagoniści współwalczyć nie chcieli. Jeszcze w lutym r. b. prokuratora lipska wniosła skargę przeciw autorom: Conradiemu, Wallothowi i Albertiemu, o rozpowszechnianie pism nieprzyzwoitych, oraz przeciw nakładcy ich Wilhelmowi Friedrichowi w Lipsku. Oto dzieła beletrystyczne, w których prokuratora odkryła ślady wykroczeń przeciw państwowej ustawie karnej: *Adam Mensch*, powieść Hermana Conradięgo; *Der Dämon des Neides*, Wilhelma Wallotha; *Die Alten wird die Jungen*, Konrada Albertiego.

Rozprawa odbyła się w ostatnich dniach lipca w Lipsku. Młodego Conradięgo śmierć uwolniła od stawiania przed obliczem sędziów, a z publikacji najświeższych wpływa, że wzruszenia, połączone ze sprawą procesu literackiego, przyczyniły się do procesu destruktacyjnego, któremu uległ dzielny ten zwolennik szkoły realistycznej. Prokurator wnosił skazanie Wallotha i nakładcy Friedricha na karę pieniężną; Albertiego zaś — na więzienie. Trybunał uwolnił Friedricha; a Wallotha i Albertiego obłożył grzywnami, pierwszego — w kwocie 150 m., drugiego — w ilości 300 marek. Alberti wreszcie zmuszony był jeszcze dodatkowo zapłacić 40 m. za to, iż w ciągu rozprawy zarzucił prokuratorowi brak wykształcenia. Nadto zarządził trybunał zniszczenie całego nakładu dzieł potępionych, wraz z kliszami.

Wyrok ten całą prasę niemiecką wprawił w zdumienie. Inicjatywnie Pierwszy raz w nowszym piśmiennictwie Niemiec sąd państwowy z poważnymi utworami literackimi obszedł się tak, jak gdyby one były płodami pornografii. Nakładca Wilhelm Friedrich podjął się ogłoszenia materiały niezwykłego procesu literackiego. Dopiero co wydana broszura *) zapoznaje nas dokładnie z całym przebiegiem sprawy; znajdujemy tu oskarżenie, inkwizycję pod sądnych i świadków, przemowę prokuratora i adwokatów, obronę Albertiego i wyrok wraz z motywami. Dziś sympatya ogółu jest po stronie osądzonych, a najwybitniejsze powagi literackie wskazują na rażące braki sądownictwa, które w tym procesie na jaw wystąpiły, obniżając szacunek powszechny dla jednej z najokazalszych w państwie instytucji. Prokurator Nagel, wskutek braku wiadomości literackich, ośmieszył się w tym procesie. Wprawdzie Alberti skazany został na karę 40 marek za to, iż zarzucił dostojnikowi nieznajomość Owidyusza, ale w toku rozprawy odegrał się druga scena podobna, w której honoru prokuratora sąd ocalić nie mógł. Oto oskarżony Walloth, powołując się na dramat Hebbla *Juditha*, zagadnął prokuratora: — „Wszak znasz pan Hebbla?” — „Hebla?” — odparł — „nie — czy pisma jego wyszły w Lipsku?” — Być może, iż Nagel jest doskonałym urzędnikiem, dzielnym jurystą, być może nawet, iż posiada pewne wykształcenie ogólne, chociaż nie zna Hebbla, jednego z najcenniejszych dramaturgów niemieckich; lecz to pewna, że nie posiada on wykształcenia literackiego. Autorowie niemieccy, po dokonanych procesie nad realistami, domagają się: aby urzędnicy, którym na przyszłość oddawane będą procesy literackie, posiadali wykształcenie fachowe. Cóż by powiedziano (piszą), gdyby sędziom, rozstrzygającym sprawę handlową, obce były stosunki kupieckie? Urzędnicy państwowi, którym powierzono osądzenie kwestji literackich, powinni być nie dyletantami na polu piśmiennictwa, lecz gruntownymi jego znawcami.

Z jednej tylko strony ofiarom procesu lipskiego czyniono zarzuty: najbliżsi towa-

*) „Der Realismus vor Gericht” Lipsk, W. Friedrich.

rzysze młodych autorów, koledzy ich po piórze i współwyznawcy kierunku literackiego, oburzeni byli, iż Alberti i Walloth ze sprawy swej uczynili sprawę realizmu wogóle i namiętnie a ostro zaznaczali frakcyjne swe programy literackie. Rozstrój i walka w łonie młodej szkoły realistycznej doszły dziś istotnie do stopnia niebywałego. Wiadomo czytelnikom *Prawdy*, że realisci skupili się w grupy następujące. Pod dowództwem Conrada, Bleibtreu i Albertiego pracuje grupa, skupiająca się około miesięcznika *Die Gesellschaft* i świeżo założonej *Deutsche Bühne*; ale wkrótce po uformowaniu się, grupa ta straciła jednego z najwybitniejszych członków, Maksa Kretzera. Dość cicho zachowuje się druga gromadka, pozostająca pod wodzą Juliusza i Henryka Harta, a uznająca za organ swój *Kritisches Jahrbuch*. Z grupą Bleibtreu współzawodniczy pod względem krzykliwości „Freie Bühne.“ W ostatnim roku „Freie Bühne“ wystąpiło na plan pierwszy. Ocasopismo, wychodzące pod tym tytułem, miało wielu dzielnych współpracowników, a redaktor jego słynął, jako krytyk w Berlinie. Stowarzyszenie teatralne tegoż imienia dało szereg przedstawień i bądź co bądź dobrze zasłużyło się sprawie realizmu w Niemczech. Najwybitniejszym w grupie tej talentem jest Gerhard Hauptmann. Grono to jednak nęgliło już rozkładowi: ośmiu najdzielniejszych współpracowników „Freie Bühne“ opuściło obóz, w którym Brahm zbyt despotycznie rządził.

Zwolna wylania się nowa grupa, która usiłuje zwabić rozbitków z „Freie Bühne.“ Oto *Magasin für die Litteratur des In-und Auslandes*, przechodząc z rąk do rąk, pozostało jednak zawsze wiernem kierunkowi realistycznemu, a obecni jego właściciele, nieznani w literaturze, A. Stössel i W. Reisswitz starają się przy pomocy dzielnego współpracownika swego O. Neumanna-Höfera, utworzyć rodzaj umiarkowanego i poważnego centrum, które dawszy odprawę bezcelnej reklamie i adoracji wzajemnej, oraz płonnym dyskusjom teoretycznym, związało się pod hasłem usilnej pracy wytwórczej. „Uznany“ ich poetą jest Sudermann, autor dramatu *Die Ehre*. Talentu i poważnego kierunku drużynie tej odmówić nie można; ale kto wie, jakie w łonie jej siły rozkładowe drzemia.

Ladawa.

ALEKSANDER GŁOWACKI

(Bolesław Prus).

IV.

Prus ma o ludziach, o ile ich czyni bohaterami, przekonanie czysto ewangeliczne. Co jest w życiu ponizmem, to w jego powieściach wywyższonem — i naodwrot. Człowiek ukształcony z jego analizy wychodzi głupcem, dobroczyńca — obłudnikiem, prostak — mędrcom, dziecko — filozofem, gbur — czułym poetą. Zdaje się, jak gdyby on mówił nam: świat jest czemś zupełnie innem, niż się przedstawia; ulegamy ludzacy jego pozorom, a powinniśmy przy pomocy zdrowego rozsądku pojąć, że *A* jest *nie-A*, a *nie-A* jest *A*. Ta odwrótność poglądu objawia się u niego szczególnie w umiłowaniu maluczkich. Jak w swych „Kronikach“ unika lotu po szczytach i chętnie zagląda do każdego załamka nizin; nie unosi się nad żadną wielkością, a skwapliwie broni małość, którą nieraz nawet sofistyką rozdyma, ociera z kurzu i brudu, myje i stroi; podobnie w swych utworach zjednywa serca czytelników przedewszystkiem dla istot maluczkich, ciemnych, upośledzonych i sponiewieranych. Gdy pani Wincentowa straciła męża (*Sieroca dola*, 1876), zabrał ją z synem do siebie na wieś poczciwy kre-

wy, który biedną wdowę uczynił guwernantką i klucznicą, pracującą dlań darmo, a sierotę bił za przewinienia swych synów. Gdy zaś przyjął ją, jako płatną nauczycielkę, istotnie zacny sąsiad owego kuzyna, zamozny ziemianin, to wkrótce stracił majątek, skutkiem zbyt gorliwego czytania artykułów, uczących go umiejętnej gospodarki. Wdowa wraca z synem do Warszawy, ale tu umiera na tyfus głodowy. Jej synek dostaje się pod opiekę filantropa, rozmyślającego ciągle nad projektami uszczęśliwiania ludzi, który go uznaje za własne dziecko, powoli zamienia na kopciuszka, a wreszcie oddaje do krawca. Tu mały Jaś nietylko nie zaraża się miazmatami pijacko-złodziejskiej atmosfery, ale nawet oddziaływa uszlachetniająco na dorosłego czeladnika. Nie ulega on również po ucieczce od krawca złym wpływom towarzystwa i związku z piaskarzami, z którymi tylko w bezce sypia, ale kraść i oszukiwać nie chce, a pod skrzydła owego zrujnowanego szlachcica powraca niepokalanym moralnie.

Kowal kochał bardzo swego jedynaka (*Przygoda Stasia*, 1878), ale kiedy dziecko jeszcze było małym, przywiozł mu w darze... dyscyplinę. Matka również kochała chłopca, ale położywszy go raz spać na polu, po wielu najczulszych pieszczotach, rzekła do niego i psa: „Ja pójdę buraki pleć, a jak się tu nie będziecie dobrze sprawowali, to złapię tyczki i tak wam kości porachuję...“ Bo czytelnik Prusa musi być rozczerowanym z iluzji, że miłość chłopka jest idealną i nie miesza się z okrucieństwem.

Michałka nazywano we wsi „durnym“ (*Michałko*, 1880), a jednakże on, przybysz na zarobek do Warszawy, przy każdej sposobności odsłaniał swoją wielką duszę, zdolną do najgłębszych uczuć i najbezinteresowniejszych poświęceń.

Antek był próżniakiem (*Antek*), którego matka nie mogła nagiąć do żadnej pracy i często musiała obijać, jak lesne jabłko. Ale on dlatego nie pilnował trzody na pastwisku i pogrążał się w lenistwie, że go pochłonęła myśl o zbudowaniu wiatraka, a potem marzenia mechaniczno-artystyczne. W szkole ciągle go bili; z kuźni, gdzie zdradził wielką zdolność, kowal go wypędził. Nieszczęśliwy Antek, wyrzeźbiwszy krzyżyk dla uczczenia młodej wójtowej, którą pokochał, zawiesił go w kościele, opuścił wioskę i powędrował w świat.

W *Powracającej fali* (1880) widzimy bogatego fabrykanta z kamiennem sercem, topniejącem tylko jak wosk dla hulającego syna, którego długi i marnotrawcze wydatki pokrywa oszczędnościami na robotnikach. Przedłuża on im bezlitośnie dzień pracy, wyzyskuje, gnębi, aby zwiększyć swoje dochody i nadwyżką ich opłacać rozpustę i szaleństwa jedynaka. Jest tak okrutnym, że biednej kobiecie, błagającej go o trzy ruble na pochowanie dziecka, odpowiada brutalnie:

— Niech ci się dzieci nie zachciwa, kiedy im nie masz za co sprawić pogrzebu.

Daremnie zgorszony tym egoizmem pastor usiłuje rozgrzać serce przemysłowca ciepłem napomnień chrześcijańskich i grozi mu „powracającą falą“ krzywdy, która w winnych uderza zemstą. Sep coraz głębiej zapuszcza swe szpony fabrycznego wyzysku, a kiedy dla oszczędności oddalił lekarza i felczera, stał się pośrednim sprawcą śmierci zdolnego majstra, który, poszarpany przez maszynę, umarł skutkiem braku natychmiastowej pomocy. Nareszcie Nemezis sprowadziła falę pomsty: młody Adler zginął w pojedynku, a stary, obłąkany rozpaczą, spalił fabrykę i sam w jej ogniu zginął.

Prus, który w swych zasadach społecznych nie odsuwa się zbyt daleko od złotego środka i jest „konserwatywno-klerykalno-wolnomysłno-arystokratyczno-demokratycznym“, w przedstawieniu stosunków powyższego obrazu nie użył ani tej radykal-

nej ostrości, ani tego kolorytu, jakie zastosowałby pisarz demokratyczny czerwieńszej barwy; pomimo to wszakże *Powracająca fala* jest nadzwyczaj wyrazistym, a w literaturze naszej może najwyrazistszem odmalowaniem męczeństwa pracy w niewoli u kapitału. Jak *Michałka* w przeróbce włączono do biblioteki ludu wiejskiego, tak *Powracająca fala* znalazłaby niewątpliwie chętnych czytelników wśród ludu fabrycznego. W ruchu umysłowym i społecznym, płynącym dziś szeroko z tego źródła, Prus poniekąd wyprzedził u nas dowodzenia teoretyczne i działalność praktyczną.

Jak widzieliśmy, jest on nietylko obrońcą, ale czcicielem maluczkich i upośledzonych. Nie należy jednak sądzić, ażeby ta jego sympatya, często artystycznie i psychologicznie paradoksalna, przejawiała jakąś suchą lub od życia oderwaną adwokaturę. Nawet wtedy bowiem, kiedy on rzeczywistość zaprawia sentymentalizmem, kiedy w duszach płytkich otwiera bezdenne tonie, a głębokie zasypuje piaskiem, kiedy rozpala ogień w wodzie, a mgłę nadaje twardość, kiedy np. dziecku każe filozofować, chłopu zamawiać nauczyciela dla dziecka, które jest jeszcze niemowlęciem, a lichwiarzowi, który wielu „panów wykierował na dziady“ i zgubił wiele „wdów i sierot“, kupować markę na list niefrankowany, wystawiony w szafce pocztowej, w najdziwniejsze osnowy wpłata tyle świetnych spostrzeżeń i szczegółów realnych, że jego zmyślanie mieni się ciągle znamionami prawdy. W zbiorze, stanowiącym pierwszy tom *Pism* Prusa, jedna z najpiękniejszych jego powiastek, *Antek*, zawiera opis nauki chłopca wiejskiego w szkole elementarnej. Zgodziwszy się na pewną przesadę, bez której sztuka obejść się nie może, zobaczymy rzeczywistość podpatrzoną w najcharakterystyczniejszych rysach.

— „A dobry też z niego profesor? — pyta matka Antka jednego z gospodarzów o nauczyciela.

— No, niczego. On niby, jak z nim gadać, to taki jest trochę głupowaty, ale uczy — jak wypada. Mój przecie chłopak chodzi do niego dopiero trzeci rok i już zna całe abecadło — z góry na dół i z dołu do góry.

— E, cóż to znaczy abecadło — odezwał się drugi gospodarz.

— Jużi że znaczy — rzekł pierwszy. Nibyscie to nie słyszeli, co nieraz nasz wójt powiadają: żeby ja choć umiał abecadło, tobym z takiej gminy miał dochodu więcej, niż tysiąc rubli, tyle co pisarz.“

Pomimo że Antek posiada zdolności niezwykle, nie może zdobyć tej wiedzy, o której marzył wójt dla pomnożenia swych dochodów i ustawicznie dostaje tylko chłostę „na rozgrzewkę.“ Skarżącego się pociesza matka:

— „Bo widzisz to początek. Dopiero później będziesz brał i za naukę.“

Dała ona nauczycielowi czterdzieści groszy. Po dwu miesiącach mistrz bezpłatnej oświaty, nie otrzymawszy więcej, oświadczył stanowczo:

— „Ja tam sobie nad nim darmo ręki zrywać nie będę. Taka nauka, jak moja, to nie dla biednych.“

— „Cóżes się ty wisusie nauczył przez te dwa miesiące? — spytał Antka przyjaciel jego matki.

— Com się tam miał nauczyć! — odparł chłopiec. Kartofle skrobią się tak we szkole, jak i w domu, swiniom tak samo daje się jeść. Tyle tylko, że parę razy profesorowi buty wyczyścił. Ale za to porwali na mnie odzienie przy tych tam... rozgrzewkach.“

Dickens nie umiał pyszniej splatać śmiechu ze smutkiem.

Te pierwsze utwory Prusa, o których mówiliśmy, miały znaczenie rozstrzygające dla jego sławy i rodzaju jego twórczości. Zarysował on się w nich, jako znakomity nowelista, to jest twórca krótkich powiastek, zawierających myśl głębszą, oprawio-

na w ramy kunsztownego i szczerzego humoru, a niezmiernie pożądanego dla każdego pisma peryodycznego. Bo jakkolwiek prasa drukuje powieści obszerne, a nieraz nawet, kiedy one snują swój wątek w sposób zaciekawiający, posiada w nich długotrwałą przynętę dla czytelników, najchętniej wszakże pomieszcza krótkie, jedno lub kilkociągowe, które nie nużą uwagi i olśniewają błyskawicami talentu. Prus tedy, prawdziwy Meissonier nowelistyki naszej, stał się dla dziennikarstwa siłą pierwszorzędną, nieoszacowaną, a zarazem zaczął uprawiać z zamiłowaniem tę niwę, na której wyrastały bujne wawrzyny. O szerokie malowidła się nie kusił i poprzestawał na małych, w których rzeczywiście doszedł do wysokiego mistrzostwa. Niektóre z tych pięknych klejnotów przeszły do literatur zagranicznych, a jeżeli tam nie oceniono ich należycie, to tylko dlatego, że wystąpiły one nielicznie i że w przekładach zatęchły się przepyszne, dla cudzoziemców często niezrozumiałe barwy miejscowe. Bo czyż niemiec np. może odczuć i pojąć szkołę z „rozgrzewką“?

(D. c. n.).

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Usprawiedliwienie. — Podatek na korzyść podrzutek. — Obowiązek powszechny. — Najlepsze złe. — Medaliki dla zgubionych dzieci i projekt stacyi ratunkowej w ogrodzie Saskim. — Emigracja ludu naszego do Brazylii. — Oprawcy zagraniczni. — Potrzeba zatamowania tego ruchu. — W porę!

Jeżeli serce człowieka jest albo salą balową, albo galerią rozkosznych obrazów, albo ogrodem wonnego kwiecia, albo krynicą ożywczych zdrojów, może ono odbijać w innych echa swego zadowolenia i promienie swego szczęścia. Ale jeżeli serce to jest grobem, w którym spoczywają trumny i nad którym stoi przechowująca jego świętość kaplica, nie wymagajcie, ażeby ono służyło za teatr dla komedy i farsy. Ludziom gorzko jest w ustach, więc słusznem, bo naturalnem pragnieniem chcą z każdego, podanego im kielicha, pić słodycz; ale niech raczej odtrącają ów kielich, który nie zawiera pożądanego przez nich napoju, niż mieliby wymagać, ażeby weń wyciskał im sok winnych gron ten, kto ich z życia nie zrywa.

Pisma zapewniają, że wkrótce ma być zaprowadzony podatek na utrzymanie przytułków dla podrzutek i że instytucja Dzieciątka Jezus rozwinęta zostanie w paru filiach prowincjonalnych. Jako przyszły płatnik tej daniny, powitałbym ją z najwyższą radością nawet wtedy, gdybym własnym dzieciom musiał ująć chleba dla udzielenia żeń kawałka cudzym, nieszczęśliwym a cierpiącym za cudze winy i niewinny, sponiewierany przez nędzę i barbarzyński obyczaj, porzucany na ulicach, drogach i w sieniach, jak szczenięta, których nikt chować nie chce. Bo względem tych istot dłużnikiem jest każdy, zarówno ten, kto je na świat wprowadza i na męczarnie skazuje, jak i ten, kto jest członkiem społeczeństwa, podtrzymującego ich nędzę i krzywdę. Wobec nich winni jesteśmy mniej lub więcej wszyscy, wszyscy przeto musimy być powołani do spełnienia świętego obowiązku. Jeden z czytelników naszych proponuje, ażeby podatek na korzyść dzieci nieprawych bardziej obciążył mężczyzn bezzennych i bezdzietnych od pewnej określonej liczby lat, aniżeli ojców rodzin. Gdyby tylko tej myśli nie przeciwstawiły się trudności wykonania jej, byłaby ona najzupełniej słuszną, głównie bowiem kawalerowie są ojcami podrzutek.

Ale powtarzam: od obowiązku tego nie powinien być uwolnionym nikt podlegający jakimkolwiek opodatkowaniu. Przedstawiało to zawsze widok dziwny, a nawet wysoce gorszący, gdy dla pomnożenia zasobów przytułku Dzieciątka Jezus puszczano w ruch najrozmaitsze pomysły i koncepty, otwierające mu krętą drogę dla wśliznięcia się do zamkniętych przed niedolą kieszeni i wydobywania z nich jałmużny. Ci radzili na ten cel uszczknąć coś ze zbytku, inni — z nałogu, inni — z gry loteryjnej itp. Po co to lekkie i nieprzystojne skradanie się! Czemu nie powiedzieć sobie jasno i szczerze: płodźmy i rodźmy ciągle w ogromnej liczbie dzieci, którym nie dajemy ani ogniska domowego, ani czulej opieki, ani praw towarzyskich; dajmy im przynajmniej możliwość najmizerniejszego istnienia; nie są one synami i córkami jakichś ojców i matek, bo ci się ich wyparli, ale synami i córkami całego społeczeństwa, które wyprzeć się ich nie może i dbać o nie musi.

Mówiąc o tym przedmiocie dawniej, zaznaczyliśmy, że przechowywanie dzieci nieprawych, których natura nie zna, jest barbarzyńską, skamieniałością cywilizacji, że przytułki dla nich utrwalają tę skamieniałość obyczajową, która powinna zniknąć w zupełnem równouprawnieniu, że instytucje tego rodzaju mogłyby uszlachetnić się i odegrać wielką rolę społeczną, gdyby się stały zakładami wychowawczymi dla wszystkich dzieci biednych; nie schodząc wszakże w zasadzie z tego stanowiska, głosujemy za złem mniejszem, za ochronami, które są w każdym razie lepsze od rynsztoków i dołów ustępowych.

Gdyby niedole dziecięce zamykały się tylko w obrębie ich „nieprawości“. Niestety, obok rozpaczliwego chóru podrzutek brzmi w życiu naszym żaloszny chór dzieci, zaniebanych z musu lub lekkomyślności. I na tej wszakże, jak na każdej tragedji, skrapla się czasem mimowolny humor. Niedawno pisma pochwały pewną damę, która zgubiwszy córeczkę w ogrodzie Saskim, ofiarowała światu swój wynalazek, zapobiegający podobnym wypadkom za pomocą... nazwiska, wypisanego wiecznym atramentem na białźnie dziecka. Teraz znowu czytamy doniesienie, że jeden z przemysłowców tutejszych zaczął wyrabiać w tym celu medaliki, których jedna strona mieć będzie wizerunek Opatrzności, druga zaś puste miejsce do wpisania imienia i nazwiska dziecka, oraz adresu jego rodziców i opiekunów. Wszystkie te środki zapobiegawcze nosiły dotychczas na swych obrotach psy, ale gdy ich losowi zaczęły ulegać dzieci, zastosowano do nich wypróbowany sposób, zmieniwszy obrotę na medalik. Umieszczone na nim oko Opatrzności tłumaczy dostatecznie reformę pedagogiczną. Dopóki dzieckiem, wyprowadzonym na ulicę lub do ogrodu, opiekowała się nieustannie matka albo jej zastępczyni, nie potrzeba było mu zawieszać na szyi żadnych znaków; ale gdy coraz częściej musiała czuwać nad nim tylko Opatrzność, jako jedyna piastunka, musiano pomyśleć o medaliku. Projekt natchniał się spełniać trzeba podsuwać z ostrożnym namysłem, ale niemające nadziei urzeczywistnienia się, można rzucać śmiało. Więc projektuje, ażeby matki, zajęte wystawami magazynów na ulicach, lub rozpościeraniem swych pawich ogonów w miejscach spacerowych, ażeby bony, dające się chętnie ranić strzałem Amora z oczu uwodzicieli ogrodowych, ażeby niańki, których troskliwość nie została należycie wypróbowana, pozostawiały dzieci w domu. Wtedy Opatrzność nie będzie musiała ich wyręczać, a medaliki okażą się zbiteczne. Ponieważ zaś niedbali rodzice mogą również zapomnieć o zawieszeniu swym „pociechom“ blaszek, więc jeżeli pierwszy punkt mojego projektu nie będzie przyjęty, polecam uwadze zacnych kapłanek i ich służebnic drugi: w ogrodach publicznych, a zwłaszcza w Saskim, należy

urządzić taką samą stacyę ratunkową, jaka istnieje nad Wisłą, ażeby wtedy, gdy matka lub bona pójdzie do bocznej alei dla skosztowania owocu zakazanego, jakiś czujny Piotr Kocz ratował opuszczone dzieci, tonące w tłumie. Szkoda, że wprowadzeniu w życie tego — jak mniemam — praktycznego pomysłu przeszkodzi zapewne tak słicznie wyilustrowana „medalikiem z Opatrznością i adresem“ miłość macierzyńska.

Zaden medalik nie pomoże naszym chłopom i robotnikom, zbalamuconym przez agentów zagranicznych i rzuconym na pastwę ostatniej nędzy w Ameryce. Kodeksy państw europejskich układane były wprzód, zanim odkryto jaskinie zbrodni, podobne do wadowickiej, więc to nowożytne korsarstwo odbywa się prawie bezkarnie. Ze świeżego procesu w Galicyi wiadomo czytelnikom, że w Europie, a zwłaszcza po ziemiach polskich w Austrii, Prusach i Rosyi, uwija się kryjomo banda łapaczów, którzy dla napędzenia firmom przewozowym baranów do niecnej strzyży, nakłaniają ciemny lud fałszywemi obietnicami i gwałtem do wędrowki za morze. Schwytany i obrabowany z pieniędzy chłop ratuje się na obcym miejscu od śmierci ciężką pracą u pierwszego lepszego wyzyskiwacza lub ginie z głodu. Ile w ten sposób straciliśmy ludzi i ich zasobów — trudno nawet w przybliżeniu oznaczyć. Pomimo czuwania władzy, pomimo wpływu prasy i ostrzeżeń w książeczkach i pismach ludowych, łowcy zagraniczni nie przestają u nas napędzać prostaczków w swe zdradzieckie sidła. Według *Kuryera codziennego*, w okolicach Łodzi trwa i zatrważająco wzrasta emigracja do Brazylii. Ruch ten rozrywa nawet tamy moralne i mać się pierwiastkami zepsucia. Jedni wyprzedają swoje mienie na podróż do zmyślonego raju, ale inni kradną cudze lub uciekają przed wierzycielami. W nikczemnej robocie mają agentom dopomagać naganianie miejscowi, łatwiej umiejący dźwżyć lud. Zbrodniarzów tych powinaby dosięgnąć ręka sprawiedliwości. Faktu emigracji zamorskiej, o ile on rozrasta się wśród ludu, niepodobna ani lekceważyć, ani wymijać doktrynerstwem, pozostawiając każdemu swobodę rozporządzania swoją osobą i majątkiem. Gdyby nasz chłop wiedział, co robi, gdyby opuszczał kraj dla istotnej poprawy swego losu, gdyby czynione mu przyrzeczenia nie były kłamliwe, a rozczerwanie straszne, moglibyśmy nie zagradzać mu drogi do najdalszej wędrowki. Ale skoro widzimy go prowadzonego na stracenie, mamy obowiązek uchronienia od niechybnej zguby. Dzisiaj już nie ulega żadnej wątpliwości, że załedwie jeden z tysięcy tych rozbitków wypływa na brzeg i wywalczą sobie pomysłną egzystencję, że reszta tonie, że agenci emigracyjni są zbrodniarzami, którzy nie popełniliby większego występkę, gdyby wywiozłszy nieszczęśliwe gromady ludzi na morze, przedziurawili statki i potopili ich zdradziecko.

Jesień już kilkakrotnie dmuchnęła na nas swym chłodnym powiewem; odpoczywający i wzmacniający swe zdrowie warszawiacy wracają z letnich mieszkań. Dbała o ich dobro kolej Terespolska zaprowadziła... bilety *sezonowe* z ustępstwem 30% od ceny normalnej za 40 przejazdów. Żandarmi operetki Offenbacha nie przybywali chyba bardziej „w porę.“ Nieprawdopodobne a prawdziwe.

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Reforma gminna w Królestwie Polskiem. — Nowy prąd emigracyjny i jego żywiołowość. — Owoce wyprawy po złote runo. — Pożar Jedlińska. — Donośny dzwonek p. Wróblewskiego.

Samorząd ludu wiejskiego w Królestwie Polskiem, a zwłaszcza, sądy gminne, prze-

stały już odpowiadać wymaganiom władzy centralnej. Za staraniem generał-gubernatora, weszła na porządek dzienny sprawa reformy tych dwu instytucyj. Zarząd gminy, który zdaniem gazety *Nowoje Wremia*, w wielu punktach zbliża się do zarządów włościańskich w wewnętrznych guberniach Cesarstwa, miał przedewszystkiem na celu „uniezależnienie“ ludności wiejskiej. W tej myśli, powiada rzeczne pismo, włościanom nadano prawo nie tylko swobodnego wyboru z pośród siebie sołtysów, wójtów i sędziów, ale i samodzielnego radzenia o wszystkich ważniejszych swych potrzebach, jako to: o sprawie wykształcenia, kredytu wiejskiego, dobroczynności i dobrobytu publicznego. Aż do r. 1870, dopóki gminy pozostawały pod błogim wpływem Komitetu Urządzącego, one funkcjonowały bez zarzutu, a sądy gminne nie tylko nie wywoływały żadnych skarg, lecz, co więcej, stawiane były za wzór sądom wiejskim, istniejącym w guberniach wewnętrznych. Ale, niestety, wraz ze zwinieniem Komitetu Urządzącego, reformy administracyjne w Królestwie Polskiem zatrzymały się w swym biegu: gmina doszła do stanu, w którym nie może już należycie wypełniać obowiązków, włożonych na nią przez jej twórców. Stopniowo bowiem liczba gmin zmniejszyła się do połowy, a istniejące rozrosły się do olbrzymich rozmiarów, skutkiem czego uczestnicy zebrań gminnych nie mogli częstokroć dojść do zgody w najprostszych sprawach. Zdarzało się np. iż jedna wieś stawiała swoich kandydatów, nie uznając kandydatów wsi sąsiednich. Otóż wobec tego wszystkiego (nie licząc innych powodów) uznano za konieczne przeprowadzić reformę w dwu kierunkach: przywrócić gminom zatraczone, pierwotne granice terytoryalne i poddać ich zarząd ściślejszej kontroli „faktycznej“ rządu. Co zaś do sądów gminnych, to jakkolwiek uprzednio, pod wpływem powstałych chwilowo wątpliwości, czy odpowiadają one potrzebom kraju oraz zasługują na poparcie w dalszym swoim rozwoju, o mało nie zostały skazane na całkowitą zagładę; po wszechstronnem wszakże zbadaniu i przekonaniu się, iż miejscowa ludność z nimi się „żyła“ i do niedawna jeszcze zupełnie z nich była zadowolona — nie znaleziono podobno dostatecznej podstawy do całkowitego zniesienia tej instytucyj, powołanej do „detalicznego“ wymiaru sprawiedliwości. Sądy więc gminne ocalały, lecz uległy radykalnemu przekształceniu; przedewszystkiem zaś, jak zapewnia *Nowoje Wremia*, uwolnione będą od „postronnych żywiaków, które w ostatnich 20 latach (od 1870 r.) zdołały tak dalece spacyfikować kierunek pożytecznej tej instytucyj...“

Najnowszem łożyskiem, którem potoczyła się nasza fala wychodźcza jest już nie Hamburg v. Brema-New-York, lecz Hamburg v. Brema-Rio Janciro czyli Brazylija. Ruch emigracyjny w tym kierunku, po Żmudzi, ogarnął okrąg łódzki. W Łodzi i jej okolicach przybiera on „zastaszający“ rozmiary. Z Pabianic, Zgierz, Konstantynowa i Aleksandrowa donoszą korespondenci o „mnóstwie“ tkaczy i rzemieślników, którzy wywędrowali do Brazylii. Nawet włościanie z okolic Łęczycy, Poddębic i Ozorkowa podążają także w te pędy, wyprzedzając się z gruntów i dobytku. Te oschle i oderwane od właściwego tła stosunków społeczno-ekonomicznych, doniesienia same przez się nie dużo mówią, ale odsłoniły to, co pragnęłoby pozostać w ukryciu, a roztoczy się przed nami pełen dramat obraz, wyjdzie na jaw starannie chowane w draperyach frazeologii dziennikarskiej przysłowiowe „szydło z worka“ i ujrzemy istotne oblicze. Rzeczony ruch wychodźczy jest wypadkową zastoju w przemyśle łódzkim i agitacji agentów różnych towarzystw morskiej żeglugi parowej. Żle opłacani lub zaliczeni do „rezerwy roboczej“ najmieli, zagrożeni głodem, mieli do wyboru

albo nadwzajemienie praw własnościowych, albo spokojne z nadzieją „nagrody niebieskiej“ schodzenie do grobów, po długiej walce z wycieńczeniem. Zjawili się agenci emigracyjni i w zbolełe dusze zasiali ziarna nadziei, roztoczyli przed łatwowiernem i ciemnem ubóstwem uroczyste obrazy rajy ziemskiego, nie szczędzili wymowy, żeby Brazylię wystawić „jako obiecaną ziemię, miodem i mlekiem płynącą. „Tam cytryny rosną i same się napraszają, żeby je zrywać, do lasu po rodzynki chodzić można, zboże rodzi się bez uprawy, bawełna bez plantacyi, nierogacizna tyje bez udziału człowieka i czeka tylko łaskawego obuch...“ Nie jeden tkacz-najmita i kmiołek gospodarz, oczarowany widmem szczęścia zamorskiego, spienięża manatki, sprzedaje wyjałowiałą, wąską działkę ziemi — i rusza za ocean. Za zbiegami gonią nawoływania i kłatwy opuszczonych na brzegu kierowników produkcji rolnej i przemysłowej, oraz smarowników jednej i drugiej — wierzyli: „Bydło niecierpliwe, zaczekaj, oto świta jutrzeńka podboju rynków wschodnich, Persyi, Japonii i Chin — będzie lepiej; lub zostaw swoich sobowtórów, którzyby wytwarzali nadwartość...“ „Wyrodki, stójcie, zapłaćcie dług, komorne!“ — „Zostaniecie, — woła junacko *Dziennik Łódzki* — na wasze miejsce, na niekarczowane obszary Brazylii wypchniemy od nas kolanem... niemców!“

Milicya przemysłowa nie słucha ani rozpaczliwego wołania fabrykantów, ani złorzeczeń kamieniczników i lichwiarzy, ani obietnic Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, nie rozumie pobożnego westchnienia *Dziennika Łódzkiego* — i idzie w rozsypkę. Pozostali majstrowie wrą gniewem. W Tomaszowie np., dopadłszy agenta, który się uwijał pomiędzy ludnością roboczą i namawiał czeladników do emigracyi, objają go w „okropny sposób.“ Sądy łódzkie zasypane są pozwami kamieniczników i lichwiarzy przeciwko emigrującym do Brazylii. „Właściciele domów w dzielnicach robotniczych przerażeni są szybkim wzrostem liczby pustych mieszkań po robotnikach, na których miejsce nie zgłaszają się inni lokatorzy (*Wiek*).“ W Kaliszu spuszczone służy i zatrzymano kilkaset osób, przekradających się potajemnie za granicę — do Brazylii... *) A fala wychodźcza płynie, ślepa, niewymierzona statystycznie, niezorganizowana, rozbijająca się o niewdzięczne, twarde brzegi ziemi obiecannej, płynie i wynosi ludność przeważnie przemysłową na grunt brazylijski, spieczony promieniami słońca podzwrotnikowego...

Zamiast złotego runa, Jazoni nasi, którzy w ucieczce od nędzy przedsięwzięli oplakaną wyprawę, powitani zostają na obcym brzegu przez żółtą febrę i starą towarzyszkę — nędzę. A agenci emigracyjni? Patrzymy, czy po za ich plecami nie gromadzą się już materiały do nowego procesu wadowniczego. Wiele za tem faktów przemawia. Ci panowie z pewnością zapuszczają wędkę do sadzawki Łazarza. Idzie im głównie o nabicie swej kieszeni i zbagacenie towarzystw przewozowych, a może zaledwie w setnej części — o zaspokojenie popytu plantatorów brazylijskich na siłę roboczą. Aby tem więcej głupich a zgłodniałych rybek złapać na haczyk, uważają za rzecz dla siebie niezbędną ludzi ciemną i łatwowierną ludność przesadnie obietnicami czekającego ją za morzem dobrobytu, zamierzając zupełnie o istotnym stanie kraju, który przeżywa ciężki przełom w życiu politycznem i gospodarczem. Najlepiej może scharakteryzować rolę agentów względem

wychodźców następujący ustęp z *Dziennika Łódzkiego*: „W tych dniach robotnik Kalinowski otrzymał od swego szwagra, Zielińskiego z Brazylii list, w którym tenże opisuje, że emigrantom przybyłym z kraju tu-tejszego nie pozwalają pisać listów, prawdziwie przedstawiających położenie przybyszów. Agenci zmuszają do pisania listów zachęcających. Najczęściej zaś tak bywa, że dowiedziawszy się o adresie krewnych przybyszów, piszą listy sami. Zieliński z żoną pracują, jako robotnicy, przy plantacyach o 20 mil za głównem miastem Brazylii i zarabiają o wiele mniej, niż w kraju. W liście swym proszą krewnych, aby przysłali im pieniędzy na powrót. Kilkanaście rodzin, które wybrały się do Brazylii z zapasem gotówki, wystarczającym zaledwie na koszty podróży do Kalisza, powróciło o zebraniu do Łodzi. Opowiadają oni, że żadnych pieniędzy na drogę zagranicę wychodźcy nie otrzymują, do wskazanych zaś przez agentów miejsc, gdzie dostają zasiłek pieniężny, muszą podróżować na własny koszt.“ Taki to jest wynik wyprawy po złote runo do Kolchidy amerykańskiej naszych Jazonów...

Do długiej litanii pogorzeli, które tego lata strawiły setki chałup i budynków gospodarskich, nawiedziły krocie wiosek, osad i dworów w porze letniej, urozmaicały jak zwykle, nasze krajobrazy sielskie — wieczorem luną, a w dzień dymem — dając świadectwo rodzimemu niedołęstwu pod względem organizacji środków ratunkowych, do tej litanii przybył pożar Jedlińska. Zatrzymam dłużej uwagę na tym wypadku, ze względu na jego rozmiary, jak również z powodu p. Wróblewskiego, który z dołą pogorzeliów związał losy swego organu (*Gazety radomskiej*) i dał świetny przykład, do jakiego stopnia głośny dzwonek frazeologii, z uporem targany w próżni społecznej, może niekiedy być przydatnym. Jedlińsk, dawniej miasteczko, a dziś osada, założony został w wieku XVI, przez Mikołaja Jedlińskiego, dziedzica obszernych włości, na mocy przywileju uzyskanego od Zygmunta I w r. 1530. Rządził się przeto prawem magdeburskiem i miał prawo miecza. O 12 wiorst oddalony od Radomia, obłany jest dwiema rzekami, od południa Radomką, a od wschodu Tymienicą. W czasie napadu szwedów w roku 1655, przywilej jego lokacyjny wraz z nim samym zginął w ogniu. Pamiętny on w dziejach, szczególniejszej bitwą z austryakami w r. 1809. Po najściu szwedów miasteczko to było zawsze małe i ubogie. Dopiero po pożarze w r. 1840 zabudowało się porządniej, ożywiło pod względem przemysłu i wzrosło w ludność. Od r. 1869 Jedlińsk jest osadą. Do dnia katastrofy liczył 1,250 mieszkańców, przeważnie chrześcijan, którzy się trudnią szewctwem (100 osób), kuśnierstwem, taktwem, rzeźnictwem. Urząd wójta gminy, szkoła elementarna, szpital, dom starców i kalek, stacya pocztowa i kasa gminna — oto są jego instytucye społeczne. Szynków ma kilka, ale pijaństwo nie kwitnie, bo zaprowadzona w r. 1863 wstrzemięźliwość nałóg ten niemal wykorzeniła. Prócz rzemiosł jedlińszczanie trudnią się uprawą roli. Jedlińsk słynny jest wreszcie z corocznej zabawy ludowej pod nazwą: „ścięcie śmierci w kusy wtorek.“ Taki to szanowny, wstrzemięźliwy i bogaty w tradycję gród nawiedziła straszliwa klęska w d. 22 lipca r. 1890. „Rano jeszcze mieszkańcy ze spokojem patrzeli na mienie swoje i dobytek. W kilka godzin później stali się nędzarzami, bez dachu i chleba. Wśród zgłiszcz dymiących widzisz tu i owdzie zwęglone zwłoki krów, gęsi, trzody i drobiu — niedopalki sprzętów... Wieczorem bydło, powracające z paszy, ryczy żałośnie, szukając legowiska, z którego już niema śladu. Setki rodzin rozłożyły się obozem nad rzeką i z niema rozpaczą spoglądają na popioły swego mienia — sterzące kominy, walące się resztki ścian

*) *Dziennik Łódzki* donosi, że niektórzy fabrykanci tameczni, oddający towar do roboty tkaczom ręcznym, podwyższyli im płacę od sztuki towaru wyrobionego. Ponieważ ta kategoria robotników także ogarnięta została gorączką emigracyjną, wygląda więc to tak, jak gdyby usiłowano ją utrzymać w zapasie na czasy lepsze okruszynami ze stołu biesiadniczego...

i przepierzeń murowanych (*Gaz. radom.*). Spaliła się poczta, sąd i urząd gminny, bożnica, 94 domy mieszkalne, 56 stodół, 82 obory, 8 śpihlerzy, 2 wozownie, łaźnia, 3 kuźnie i t. d. Zabudowania będące własnością 96 mieszczan, zabezpieczono na sumę 40,820 rs. Majątku nieubezpieczonego zgorzało na sumę przeszło 160,000 rs.

Pan Wróblewski z początku nie wierzył katastrofie, ale gdy się nagle przekonał, w jednej chwili oddał na usługi filantropii łamy swego pisma i stanął na czele organizacji pomocy dla pogorzelców. „Potrzeba: maki, kaszy, słoniny, herbaty, cukru, zboża na zasiew, odzieży męskiej, damskiej i obuwi! W razie zmniejszenia się ofiarności, pogorzelcom zagraża głód!” Oto stała piosenka, powtarzana przez niego z uporem kwestarza i dźwięcząca nad uchem ogółu. Jakkolwiek p. W. z okoliczności niesienia pomocy ofiarom klęski, za dużo mówi o sobie, jakkolwiek wyraźnie postanowił przy ogniu Jedlińska upiec pieczeń sławy swego dziennika, ale darujemy mu to. W roli pośrednika pomiędzy ofiarnością publiczną, a pogorzelcami oraz w sprawie wynajdywania nowych zasilków (urządzania zabaw na rzecz biedaków) i wogóle, jako organizator pomocy dla nieszczęśliwych — położył niebyłą zasługę. Wziął się do tego bardzo zrećnie i energicznie. Publiczność radomska i okoliczna ozwała się też echem żywej sympatii, w odpowiedzi na ten głośny dzwonek.

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Narodziny nowego rynku.

Komitet giełdowy warszawski otrzymał od departamentu handlu i rękodzieł (z polecenia ministra skarbu) odezwę, opiewającą, iż poseł japoński przy dworze petersburskim, zawiadamiając o zamiarze urządzenia w mieście Osaka w Japonii stałej wystawy prób i wzorów miejscowych i zagranicznych towarów, zwrócił się do ministra skarbu z prośbą o dopomożenie mu w zebraniu i wysłaniu na ową wystawę wyrobów przemysłu ruskiego. Wystawa ta ma na celu poprawienie rozwoju stosunków handlowych Japonii z państwami zagranicznymi. Poseł wyraził życzenie, żeby w rzędzie prób znalazły się w szczególności następujące towary: wyroby bawełniane: perkal, kreton, chustki, pończochy, nici itd.; wełna i wyroby z niej: sukna, tkaniny i trykotaze, a także materje meblowe; materje półjedwabne na odzież i meble; len, konopie i wyroby z nich: płótno, bielizna stołowa, liny, sznury itp.; wszelkiego rodzaju skóry garbowane; miód, wosk oraz świece woskowe; cukier, tytoń. Departament handlu i rękodzieł zwraca uwagę na doniosłość rzeczonyj propozycji ze strony rządu japońskiego i radzi komitetowi giełdowemu, żeby zajął się rozpowszechnieniem tej myśli, zebraniem okazów i przesłaniem ich do Petersburga z odpowiednimi objaśnieniami. Dalszą podróżą okazów zajmuje się poseł japoński. Okazy winny być wysłane jeszcze w ciągu miesiąca sierpnia (st. st.). Próby tkanin winny być w odciśkach 4 do 5-łokciowych.

Komitet giełdowy, oceniając całą ważność gotowania się nowego rynku na Wschodzie, postanowił rozesłać do fabrykantów i przemysłowców okólniki, zapraszające do przyjęcia udziału w wystawie państwa mikadów.

SZKOŁA DUBLAŃSKA.

Wyższym zakładem rolniczym jest szkoła w Dublanach. Przytaczamy bliższe o niej szczegóły. Kurs nauk trwa trzy lata, czyli sześć

półroczy. Wykładane są wszystkie nauki zasadnicze, jako pomocnicze w stosunku do zawodowych. Wykłady uzupełniane są przez demonstracje i ćwiczenia praktyczne w gospodarstwie dublańskim, wycieczki do wzorowych gospodarstw, fabryk, stadnin, na wystawy itp., jako też prace w laboratoryach szkoły. Jako środki do wykładów i ćwiczeń służą: folwark dublański, pole doświadczalne, ogród botaniczny, pasieka, biblioteka i czytelnia, zbiory naukowe (fizyczne, mineralogiczne, botaniczne itd.), laboratorya (chemiczne, botaniczne, zoologiczne, rolnicze), stacje doświadczalne. Skład nauczycieli: 7 profesorów zwyczajnych, 2 profesorów adjunktów, oraz odpowiednia liczba docentów i asystentów. Nadzór zwierzchniczy nad szkołą wykonywa Wydział krajowy, porozumiewający się w sprawach ważniejszych z ministerjum rolnictwa.

Egzaminy są dwójakie. W ciągu studyów: z fizyki, chemii, mineralogii, botaniki, zoologii, ekonomii politycznej i statystyki, oraz z inżynierii wiejskiej. Każdy z tych egzaminów zdaje się z całego przedmiotu; po wysłuchaniu zatem wszystkich wykładów i przebyciu wszelkich ćwiczeń odnośnych. Po ukończeniu studyów—drugi egzamin, główny, który składa się: z ustnego, z wypracowania na piśmie i z obrony jego ustnej. Ustny obejmuje całość nauki rolnictwa, hodowli i administracji. Przedmiotem egzaminu piśmienne jest zupełne opracowanie projektu organizacji gospodarstwa. Kandydat, który zdał egzamin główny, otrzymuje świadectwo z ukończenia nauk. Niezdający egzaminów szczegółowych, lub ten, który w ciągu roku szkołę opuszcza, dostaje świadectwo frekwencyjne; student, który trzećlecie ukończył, dostaje „absolutoryum,” tj. świadectwo z nadmienieniem, że uzyskał prawo przystąpienia do egzaminu głównego.

Wpisy studentów rozpoczynają się 23 września, wykłady zaś 1 października każdego roku. Warunki przyjęcia są następujące: Studenti są zwyczajni i nadzwyczajni; stosownie więc do tego i wymagania się zmieniają. Kto uzyskał patent w gimnazjum, rządowej szkole realnej (na wydziale zasadniczym), ma prawo wstąpić do szkoły dublańskiej, jako student zwyczajny, za prostym zgłoszeniem się i złożeniem w kancelarii swoich dokumentów. Kto skończył gimnazjum, szkołę realną lub inny jaki zakład (uznany przez kolegium profesorów za równorzędny), ale bez patentu, lub kto uzyskał patent z wydziału handlowego szkoły realnej, ma prawo przystąpić do egzaminu wstępnego. Egzamin ten polega na próbie ustnej z matematyki i fizyki i zakresu gimnazjum filologicznego, oraz na wypracowaniu piśmiennem na temat ogólny. Termin do egzaminu wstępnego wyznacza kolegium profesorów, w ciągu pierwszych dwu tygodni półrocza zimowego. Zgłaszający się później może być przypuszczony do egzaminu tylko na skutek podania, w którym przytoczone będą powody zwłoki, godne uwzględnienia. Wyjątkowo, za osobną uchwałą, zatwierdzoną przez kuratora szkoły, kolegium profesorów przypuścić może do egzaminu wstępnego kandydata, który nie ukończył ani gimnazjum, ani innej szkoły średniej. W takim razie kandydat zgłosić się powinien osobiście. Studentem nadzwyczajnym może zostać każdy, kto wykaże, iż odbył studia w jakimkolwiek wyższym zakładzie naukowym, lub przez czas dłuższy zajmował się gospodarstwem rolnem i posiada odpowiednie wykształcenie. O przyjęciu studentów nadzwyczajnych orzeka kolegium profesorów. Studenti zwyczajni obowiązani są słuchać wszystkich wykładów, nadzwyczajni zaś wybierają wykłady. Pierwsi mogą być uwolnieni za uchwałą kolegium od słuchania przedmiotów studyowanych przez nich w innym zakładzie naukowym, oraz od egzaminów szczegółowych, które tam zdali.

Wpis na pierwsze półrocze wynosi 67 złr. Każdy, kto się wylegitymuje z ubóstwa, zostaje uwolniony od opłat, jeśli w końcu I półrocza zda 3 kolokwia (egzaminy półroczne) z nauk zasadniczych; w końcu II, III i IV po 2 egzaminy, w V zaś półroczu wykaże, iż zdał wszystkie szczegółowe egzaminy. Te same warunki dotyczą się również pragnących uzyskać stypendyum, jako też posiadających je.

Studenci mieszkają na wsi, w chatach włościańskich. Najmniejsze koszty utrzymania rocznego wynoszą od 250 do 300 złr., bez opłat szkolnych. Wielu studentów utrzymuje się ze stypendyów. Tych ostatnich jest 25 na ogólną sumę 849 złr.; przytem Sejm przeznacza rocznie na zapomogi 500 złr. Istniejące w Dublanach od lat 25 akademickie „Towarzystwo bratniej pomocy” ma na celu niesienie zasiłku swym członkom (studentom) tak materyalnego, jak umysłowego, co osiąga przez wypłatę pięciu stypendyów po 50 złr. rocznie, udzielanie pożyczek, utrzymywanie biblioteki i czytelnii dla użytku członków itd. Biblioteka liczy blisko 4,000 dzieł (6,000 tomów), czytelnia sześćdziesiąt kilka pism peryodycznych.

Przemysł i handel. W majątku Krasne, należącym do p. Tadeusza Dutkiewicza, w powiecie kieleckim, odkryto pokłady rudy żelaznej na obszarze 453,453 sążni kwadratowych; w majątku zaś Mroczków, należącym do p. Antoniego Libiszewskiego, w powiecie opoczyńskim, natrafiono na pokłady rudy żelaznej i gliny ogniotrwałej. Pokłady te zajmują obszar 500,000 sążni kwadratowych. Urzędowe sprawdzenie pokładów w majątku Krasne nastąpić miało 22, w Mroczkowie zaś 24 lipca r. b. Eksploatacyi podejmą się właściciele tych majątków.

— W Moskwie d. 13 sierpnia otworzono oddział towarzystwa dla eksploataowania ogniotrwałej substancji Babiejewa.

— Oddział banku państwa stanowczo będzie zniesiony w Piotrkowie. Na prośbę o utrzymanie instytucji, ministerjum dało niedawno odpowiedź odmowną. Za to niema jeszcze żadnej odpowiedzi na prośbę o pozwolenie na otwarcie w Piotrkowie mlejskiego towarzystwa kredytowego.

— Gebethner i Wolf otwierają w Łodzi skład nut i forteplanów.

— W petersburskim towarzystwie popierania przemysłu i handlu odbędzie się w ciągu nadchodzącej jesieni szereg narad o środkach, mających na celu polepszenie stanu południowego przemysłu węglowego.

— W ministerjum skarbu poruszono obecnie sprawę założenia towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń okrętów floty przemysłowej na brzegu murmańskim w celu uwolnienia przemysłowców północnych od wyzysku akcyjnych towarzystw ubezpieczeń.

— Złożono w ministerjum skarbu do zatwierdzenia projekt ustawy „rusko-japońskiego towarzystwa handlowego,” na którego czele stoja A. Miasnikow, Flr-sow i inni kapitaliści z Moskwy i Petersburga. Towarzystwo otwiera faktorie handlowe: w Tokio, Kioto, Kobe, Osaka, Nangasaki, Jokahama, Kumanoto i Nagoya.

— W Taraszczy, w gub. kijowskiej, w czasach ostatnich rozwinęło się pomyslnie jedwabnictwo (*Dz. Wódz.*).

— Wkrótce będzie otwarta w Petersburgu agentura dla starań o przywileje na wynalazki u rządów państw zagranicznych i pośredniczenia przy eksploatacyi wynalazków ruskich zagranicą.

— W Petersburgu ma być urządzona na początku przyszłego roku wystawa wyrobów drobnego przemysłu gubernij: petersburskiej, pskowskiej, nowogrodzkiej i wologodzkiej.

— Minister skarbu zamierza odbyć podróż do posiadłości ruskich w Azji środkowej, celem zbadania warunków dla utworzenia wielkich zakładów przemysłowych i handlowych na terytorjum Buchary i Chlwy.

— W Łodzi powstaje fabryka jabłeczniaku. Będzie to druga w kraju po istniejącej już w Radomiu.

— W Petersburgu powstaje towarzystwo dla wywozu ruskich towarów do Persji. Zamierza ono wywozić i towary Wódzkie (*Dz. Wódz.*).

— Wielu młynarzy ruskich wysłało swoich werkmajstrów zagranicę, celem obznajmienia się z urządzeniem młynów tamecznych i poznania, jakie gatunki maki są głównie używane zagranicą.

— W okręgu jurtowskim, na Kaukazie, w pobliżu wsi Jurt-Auch, odkryto nowe źródło nafty.

Kredyt drobnny. Ministerjum spraw wewnętrznych zamierza wlejskie instytucje kredytowe w Rosyi oprzeć na podstawach, przyjętych przez kasy gminne w Królestwie Polskiem, jako bardzo praktycznych.

Szkoły. Kursy pszczelnicze w nowo zorganizowanym Muzeum pszczelniczo-ogrodnictwem przez p. Lewickiego (w alejach Ujazdowskich, 16) już zostały otwarte, a w dniu 26 sierpnia rozpoczęły się egzaminy z pszczelnictwa, ogrodnictwa, jedwabnictwa i budowy ulów.

— Trzecią z rzędu szkołę malarstwa i rzeźby dla kobiet otwiera pani Bronisława Poświkowa. Szkoła składać się będzie z trzech oddziałów. Kierunek rysunku głów i figur obejmie Kazimierz Alchimowicz; ornamentacyi, rysunku stylowego, malowania majoliki, gobelinów, kwiatów z natury oraz malarstwa przemysłowego p. Bronisława Poświkowa; wypalania na skórze i drzewie—p. Marya Kunigowska; haftu artystycznego—p. Chorażyna; rzeźby i modelowania — p. Aleksander Borawski.

— W Instytucie Inżynierów komunikacyi i Inżynierów cywilnych w Petersburgu wprowadzony będzie wykład inżynierii rolniczej.

— Podług sprawozdania urzędowego, gub. warszawska liczy 559 zakładów naukowych elementarnych i średnich. Uczęszczało do nich w przeszłym roku szkolnym 30,904 młodzieży, 19,456 chłopców i 11,448 dziewcząt. Biblioteki szkolne posiadają dzieł 20,244, czyli 128,596 tomów, oraz 17,500 sztuk rozmaitych kart, modeli i wzorów. W gabinetach fizycznych znajduje się 4,316 różnych przyrządów i okazów.

— Liczba kobiet, zapisujących się do niewieleśkich szkół zawodowych w tym roku jest niezwykle wielką.

Życie społeczne. Kasa oszczędności przy urzędzie pocztowo-telegraficznym w Łodzi, otwarta 14 sierpnia, rozwija się pomyślnie. W ciągu czterech dni zapisało się 17 uczestników, którzy złożyli około 200 rubli.

— Władze odnośnie w Petersburgu otrzymały prośby kilku kobiet o dozwolenie im urządzenia artelu kobiecego dla kolporteryi książek i gazet.

— W Łodzi zamierzone jest dokonanie spisu jednodniowego ludności.

— W ministerium sprawiedliwości opracowano projekt przepisów o pomocnikach adwokatów przysięgłych. Projekt obiecuje pomocnikom, iż będą mieli prawo bronić spraw we wszystkich instytucjach sądowych w państwie, lecz... za upoważnieniem swych patronów.

Emigracya. Idea kolonizacyi Palestyny wśród żydów wzrasta. W Wilnie zawiązało się kóło z 20 osób, które drogą 500-rublowych zapisów złożyło 10,000. Za tę sumę postanowili uczestnicy nabyć w Palestynie kawał ziemi. Kółko wysyła dwie osoby z pomiędzy

siebie na miejsce, celem zbadania warunków kupna i widoków powodzenia (*Wil. wieśnik*).

— Ministerium spraw wewnętrznych zakazało działalność agentom zagranicznym, werbującym wychodźców do Brazylii. W ostatnich czasach pojawiło się ich mnóstwo w kraju zachodnim.

— Znamiennem jest, że uniesione gorączką wychodźczą tłumy robotników w okręgu łódzkim uważają ludzi, nawołujących do upamiętania, za przekupionych przez fabrykantów... Mniemanie to uważać trzeba za wynik budzącej się świadomości, iż interes kapitału jest często sprzeczny z interesem pracy...

Sprawy najmickie. Z rozporządzenia departamentu kolejowego na dwu stacjach drogi warszawsko-wiedeńskiej, skupiających największą liczbę robotników, urządzone być mają *łaznie parowe i pralnie ogólne*.

— Jeden z techników warszawskich wystąpił z projektem urządzenia przy stacyi pomp wodociągowych przy ulicy Czerniakowskiej, gdzie nieustannie działają maszyny parowe — *bezpłatnej pralni ludowej*. Pralnia taka w mniemaniu projektodawcy odzwyczaila ma biedaków od fatalnego pod względem zdrowotnym prania bielizny w „ubogich izdebkach...”

— Niektóre z praw, dotyczących pracy małoletnich w fabrykach i zakładach przemysłowych, będą rozciągnięte na chłopców sklepowych. Właściciele sklepów np. obowiązani mają być do pozostawiania swoim małoletnim najmiciom czasu wolnego na uczęszczania do szkoły, jeżeli ci nie ukończyli kursu szkół ludowych (*Peterb. wiadom.*).

Sprawy kolejowe. Częste kradzieże, popełniane na kolejach żelaznych, skłoniły ministerium komunikacyi do zorganizowania wolnych związków w celu przechowywania bagażu pasażerskiego. Tłomoki i pieniądze pasażerowie będą mogli oddawać naczelnikowi związku, dla złożenia w osobnym oddziale bagażowym, z którego według potrzeby brać będą napowrót swe rzeczy w czasie ruchu pociągu.

— Przy departamencie kolejowym ministerium skarbu utworzono specjalną komisję, w sprawie niżenia taryfy, dla przewozu przetworów nafty.

— W departamencie kolejowym zbierane są obecnie dane do ułożenia taryfy strefowej, która rodzajem, pró-

by, ma być zaprowadzoną na kilku kolejach Cesarstwa i jednej Królestwa.

— Dochody dróg żelaznych w Węgrzech, po wprowadzeniu taryf strefowych, wzrosły o 2,048,033 zlr.

Zdrowie publiczne. Departament kolei żelaznych zażądał od stowarzyszeń kolejowych dokładnych wiadomości o środkach, jakie obecnie użyte być mogą na drogach żelaznych dla zapobieżenia wybuchowi cholery, oraz o wysokościach potrzebnych na to wydatków.

— Do zatwierdzenia rady państwa wniesione być mają w jesieni r. b., wypracowane w ministerium spraw wewnętrznych, nowe przepisy o nadzorze lekarsko-sanitarnym w fabrykach prywatnych.

— Inżynier, p. L. Płuszczewski, złożył zarządowi miasta projekt urządzenia w Warszawie komory ozdobionej za pomocą frigidifera Fixary, w której rzeźnicy, restauratorzy i t. d. za pewną stałą opłatą najmowaliby pewną przestrzeń do przechowywania zapasów żywności. Byłoby to z korzyścią przedewszystkiem dla spożywców, gdyż zapasy w porze letniej nie ulegałyby przedkciu zepsuciu. Podobno projekt ten został przyjęty przez zarząd miasta przychylnie.

Zjazdy. W Chicago na rok 1892 amerykanie postanowili zwołać międzynarodowy kongres kobiet-lekarek.

Pożary. Biała miasto powiatowe gub. siedleckiej, uległa pożarowi z 26 na 27 b. m. Rozmiary klęski są wielkie *Kuryerowi codziennemu* donoszą, że przeszło czwarta część grodu znajduje się w gruzach, a około 4,000 mieszkańców, przeważnie ubogiej ludności żydowskiej, zostało bez chleba i dachu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Maryanowi. Był to niewątpliwie przypadek (umożliwiony zapewne wspólnością rozmów, myśli i t. d.); żadnego „prawa“ dla takich snów psychologia nie posiada i nie zna.

Student 3 k. prawa udziela korepetycyj. Marszałkowska 95—20. Harysymowicz.

O G Ł O S Z E N I A.

Najtrwalsze
Posadzki z Terrakoty
(Mettlach),

Piece, Majoliki,
Kuchnie angielskie
Wanny majolikowe i Taflę glazurę do ścian.

Maxymilian Harezyk,
Warszawa,
Kra. Przedm. Nr. 7.



„Na Raty“
Lustra
sprzedaje miejscowym i na prowincye
Fabryka zwierciadeł
MAURYCEGO Silberberga
8, Rymarska, 8.
Z powodu istniejących firm podobnych uprasza się o zwrócenie uwagi na
dokładny adres i Nr. 8.

„Na Raty“
wszelkie Towary lożowe, Wyprawy i Okrycia damskie.
Wiadomość: Marszałkowska 114, w Składzie bielizny **Konkurencyja.**

MAGAZYN
Ubiorów Męzkich
P. KREPSKIEGO
ulica Kotzebue Nr. 11 (Hotel Brühlowski),
w Warszawie.

Analizowane Wina
uznanej dobroci
poleca

Centralny Skład Win firmy Braci Bette
Nr. 1, Bielańska Nr. 1.

GEBETHNER i WOLFF
NAJWIĘKSZY W KRAJU
Skład Fortepianów i Pianin

Sprzedaż na raty. Wynajem instrumentów.
40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

DO AMERYKI.
BILETY JAZDY
Holendersko-amerykańskiego Towarzystwa żeglugi parowej
w Kantorze Ekspedycyjnym
MAURYCEGO LUXEMBURGA,
Jeneralnego Agenta Towarzystwa
w Warszawie, Erywańska 6.
Wszelkie objaśnienia szybko i bezpłatnie.
Najkrótsza, najszybsza i najtańsza podróż.

Nagrody z Wystaw za skuteczność:
Warszawa 1885, Warszawa 1886, Kraków 1887, Symferopol 1888.

!!TYSIĄCE ŚWIADECTW!!
PEWNY SRODEK
„EXSICCATOR“
OSUSZA WILGOĆ,
ZABEZPIECZA DRZEWO GNIĄ, GRZYB, KAŁP — BROSZUR
KA ILLUSTROWANA
BEZPŁATNIE
POSZUKUJE
AGENTÓW
Wyn. Inż. G. Ritter.
KRÓLEWSKA 39.

Uwaga. Upraszam o zwrócenie uwagi na markę fabryczną, gdyż wiele pojawiło się falsyfikatów.